Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Zet
sztuka kultura
sprawy społeczne

MIESIĘCZNIK POD RED. JERZEGO BRAUNA
ROK VIII NR. 1/2 (135/6) STYCZEŃ-LUTY 1939 R. CENA 50 GR.

Wielkość Romana Dmowskiego

Po zgonie Marsz. Piłsudskiego ubył Polsce z kolei drugi człowiek, który wywarł potężny wpływ na naród w ostatnim okresie jego dziejów. Wpływ ten był systematyczny i długotrwały. Przez pół wieku niemal Roman Dmowski kształtował rzeczywistość polską, czy to jako przywódca polityczny i odpowiedzialny za całość spraw narodu mąż stanu, czy to jako myśliciel i twórca światopoglądu, przedstawiającego niezwykłą siłę atrakcyjną, szczególniej dla młodszej generacji. Nurt ruchu ideopolitycznego, wytworzonego przezeń owładał niekiedy całkowicie powierzchnię życia polskiego, w innych znów okresach spychany był w głąb, niby rzeka podziemna, zawsze jednak reprezentował ogromną siłę samozachowania i oddziaływania na zewnątrz.

Dwa razy tylko Dmowski wystąpił na widowni międzynarodowej, jako wódz i prawny przedstawiciel polityczny narodu polskiego: przed wojną, w charakterze prezesa Koła Polskiego w Dumie, do której przeszli wówczas gremialnie tylko kandydaci ruchu wszechpolskiego, po wojnie, w r. 1919, jako mąż stanu, kładący swój podpis — w imię Polski — na dokumencie Traktatu Wersalskiego. A jednak potężny odłam społeczeństwa mieni go wodzem narodu a o całym niemal młodym pokoleniu nacjonalistycznym można dziś powiedzieć, że wyszło ze szkoły politycznej Dmowskiego.

Dlaczego nie odniósł w życiu państwowym Polski odrodzonej bezpośredniego, widomego tryumfu? Dlaczego umarł odsunięty od wpływu oficjalnego na losy państwa ,a ciało jego spoczęło nie w katedrze poznańskiej, gdzie było jego miejsce, lecz na cmentarzu bródnieńskim w Warszawie? Powiadają jedni: dlatego, że był raczej myślicielem i pisarzem politycznym niż działaczem. Powiadają inni — z większą dozą słuszności — że tryumf jego uniemożliwiły potężne siły międzynarodowe: żydostwo i masoneria, które poparły raczej obecny reżim, o czym dziś pisze się otwarcie (ob. głośne artykuły w czasopiśmie „Zespół“ oraz w „Wiad. Lit.“ o roli masonerii podczas przewrotu majowego). Była jednak niewątpliwie jeszcze jedna, głębsza przyczyna tego niepowodzenia, przyczyna natury historiozoficznej, a mianowicie charakter strukturalny ruchu narodowego w Polsce, odbierający mu szanse zwycięstwa w walce o władzę.

Ruch narodowy w Polsce różni się zasadniczo od innych prądów tego rodzaju w Europie. Korzenie jego tkwią głęboko w przeszłości polskiej, w tradycji owego elementu wolnościowego, wyznającego instynktownie jakiś metafizyczny samorząd narodu i zajmującego stanowisko biegunowo przeciwstawne wobec elementu państwotwórczego, tego drugiego żywiołu polskiej antynomii historycznej. Ma on więc— mimo swego realizmu politycznego — raczej charakter moralny, niemal kościelny, co daje mu władzę nad duszami polskimi, ale utrudnia mu organicznie zdobycie władzy w państwie. Odwrotnie: żywioł „państwotwórczy“, do którego nawiązuje obecny obóz rządzący, ma w sobie żyłkę władzy, pęd autokratyczny i ruchliwość organizacyjną, ale nie znajduje wspólnego języka z narodem, daremnie czyniąc wysiłki zasypania przepaści, jaka oddziela go odeń.

To wyraźne przeciwieństwo między ideą narodu a ideą państwa, silniejsze w Polsce, niż gdziekolwiek indziej, a tkwiące już w starej, odwiecznej antynomii polskiej między „absolutum dominium“ a „liberum veto“, stwarza Polsce niebywałe trudności wewnętrzne na drodze do zjednoczenia, zarazem jednak predestynuje ją do misji szczególnej w historii polityczno-ustrojowej Europy. Konflikt znamienny dwu odrębnych indywidualności: Dmowskiego i Piłsudskiego, jaskrawo potwierdza tę tezę. Dyskusje prowadzone dziś w prasie na temat: dlaczego ludzie ci nie pogodzili się, choć mieli ten sam cel: wielkość Polski, są bezpłodne i naiwne. Nie porozumieli się nie dlatego, że nie chcieli, lecz dlatego, że nie mogli.

Sam Dmowski nie dotarł zapewne do podstaw filozoficznych tej antynomii (nie znał wszak dzieł Wrońskiego), ale w pismach swych formułował niejednokrotnie, w aspekcie dość szerokim, to przeciwieństwo dynamiki rozwojowej państwa i narodu, podkreślając dobitnie, że Europa współczesna wciąż jeszcze nie rozumie tego zjawiska. Interpretował je wprawdzie w ograniczonych ramach historii ustroju i gospodarstwa międzynarodowego. Wskazywał jed-

nak,że tu tkwi istota kryzysu Europy, tracącej swe uprzywilejowane stanowisko wobec ras kolorowych. Kultura nowożytnego industrializmu, rozwinięta przez rasę białą, doprowadziła — zdaniem jego — do mechanicznego przerostu państwa. Państwo współczesne, ze swą pasorzytniczą inteligencją urzędniczą, stało się za kosztowne dla narodów, przywala je sobą, wysysa z nich soki żywotne. Rewolucja narodowa powinna przede wszystkim zredukować ten wybujały z różnych względów aparat państwowy, a oprzeć się na organicznej powszechności narodowej.

To przywrócenie zwichniętej równowagi między państwem a narodem, a co za tym idzie, wypełnienie państwa, jako formy — treścią duchową, zawartą w tej powszechności narodowej, oto pierwsza wielka myśl Dmowskiego. Zrodziła się ona w nim z głębi rozmyślań nad charakterem dzisiejszego przesilenia dziejowego, w skali globowej. Dostrzegł on wcześnie kryzys cywilizacji industrialistycznej, opartej na wierze w technikę, kryzys, którego rozmiarów narody Zachodu, pogrążone w nim, nie ogarniają w całej pełni. Odwrót od tego typu cywilizacji lubimy nazywać regresją do „nowego średniowiecza". Jest to jednak symplifikacja, bo to co było, już się nie może powtórzyć. Chodzi dzisaj o porzucenie dekadenckiego relatywizmu kultury urbanistycznej, przesyconej użyciem i materializmem potrzeb — a zwrot ku prawdom bezwzględnym (to co Wroński zwie „era celów absolutnych", w której Bóg i nieśmiertelność będą ideałami normatywnymi narodów).

Druga wielka myśl Dmowskiego, to idea walki z wszechwładzą ekonomiczną i polityczną żydostwa międzynarodowego i jego agentury najpotężniejszej: masonerii. Masoneria — w tym aspekcie — jest jakby duszą nowożytnego industrializmu, z jego wszystkimi epifenomenami. Epoka kapitału anonimowego, pogoni za zyskiem i użyciem, zwyrodnienia urbanistycznego — jest epoką rządów tajnych organizacyj, kierujących masami za pośrednictwem demokracji parlamentarnej, aparatu biurokratycznego, prasy i propagandy. Od nich wywodzi Dmowski skarlenie duchowe współczesnej Europy, ponieważ tam gdzie rządzi tajna dyscyplina masońska nie ma miejsca na wielkich ludzi, indywidualności twórcze i niezależne. Zarzucano Dmowskiemu ,że przecenia rolę masonerii i żydostwa. Sądzimy, że raczej jej nie doceniał. Wierzył w nieuchronny zmierzch tych potęg, jako związanych z wyżej opisanym typem cywilizacji. Fakty obecne potwierdzają w pewnej mierze te jego dedukcje: wyzwalające się narody, sięgające po pełnię suwerenności podmiotów historii, niosą zagładę masonerii i uderzają w podstawę panowania żydostwa w gospodarstwie i w kulturze. Ale siły te szukają już, z zadziwiającą elastycznością, nowych form i dróg oddziaływania.

Trzecią wielką myślą Dmowskiego było związanie kryzysu wewnętrznego Europy z zarysowującą się antynomią globową: biali - kolorowi, w której tle umiał on rozważać wszystkie zagadnienia naszego mniejszego kręgu kulturowego, nie wyłączając problematyki specyficznie polskiej. Kryzys cywilizacji industrialistycznej Europy jest — w jego mniemaniu — funkcją przeobrażeń zachodzących w innych częściach świata. Europa (i biała rasa w ogóle) żyła i bogaciła się kosztem ras kolorowych, którym sprzedawała swe produkty. Z chwilą, gdy inne rasy nauczyły się techniki europejskiej i naszych metod organizacji, rozpoczął się proces powolnego lecz nieuchronnego bankructwa naszej części świata. Dlatego Dmowski uważa europeizację Japonii i Chin za moment zwrotny w dziejach. Nie ma może pisarza, który by w tak wielkiej mierze jak on zafascynowany był wizją „żółtego niebezpieczeństwa". Wiele niejasnych poglądów Dmowskiego na problemy lokalne kontynentu można zrozumieć z łatwością dopiero w tym tle historiozoficznym. Tak np. jest on przeciwny budowie „Wielkiej Ukrainy" przede wszystkim dlatego, że byłoby to katastrofą dla imperium rosyjskiego, a potężna Rosja to jedyny skuteczny bufor przeciwko — inwazji Azji na Europę.

Z tej perspektywy Dmowski odsłania nam się, jako europejczyk par excellence, i to wielkiej miary, człowiek odczuwający dogłębnie solidarność z tym przedziwnym zjawiskiem dziejowym, któremu na imię: Europa, — i myślący kategoriami kontynentalnymi. Jest jakaś anglosaska szerokość horyzontów geograficznych w jego sposobie patrzenia na rzeczy polityczne i w jego stylu. W przeciwieństwie do większości ludzi swego stronnictwa, żyjących obsesją Polski i jej lokalnych problemów, Dmowski nie mógł nigdy oderwać myśli od całokształtu spraw, związanych z „być - nie być" naszej cywilizacji.

W rozważaniu jej losów przyszłych był on jednocześnie pesymista i optymista. Był pesymista w poglądzie swym na nieuchronny upadek znaczenia i roli światowej Europy industrii i kolonialnych imperializmów. Ale był optymista w ocenie możliwości twórczych narodów a w szczególności Polski. Zbliżająca się klęska żydostwa i masonerii była dlań bezsporna. Równocześnie nie wierzył w możliwości ekspanzywne Rosji sowieckiej i przewidywał degradację biologiczną i rozkład imperializmu Niemiec.

Łatwo było by powiedzieć, że Dmowski mylił się, gdy pisał, że Niemcy nie powrócą już do tej potęgi, jaką osiągnęli w dobie przedwojennej, za czasów Drugiego Cesarstwa. Tryumfy Hitlera zadały jak by kłam proroctwom tak świetnego analityka problemu niemieckiego, jakim był autor książki „Niemcy, Rosja i Polska". Ale nie mamy danych, by stwierdzić, czy obecny okres wulkanicznej ekspansji „Wielkich Niemiec" nie jest właśnie łabędzim śpiewem narodu, podekscytowanego głuchym poczuciem zagrożenia rasy.

Jako ideolog nacjonalizmu i krytyk cywilizacji, Dmowski wyprzedził niewątpliwie teoretyków ruchów narodowych zachodniej Europy. Więcej: dostrzegł słabą stronę tych prądów odrodzeńczych, polegającą na tym, że nie umieją one wydostać się z „kredowego koła" pojęć tego ginącego świata przerostu cywilizacji technicznej. Szamocąc się, zaplatują się one same w tę sieć produkcjonizmu i industrializmu, który jest źródłem kryzysu.

Polska — zdaniem Dmowskiego — znajduje się jeszcze poza trybami tego błędnego koła, ma więc szansę wyeliminować się poza obręb kryzysu i zbudować własny typ życia. Nie wyciąga on jednak konsekwencyj z tego kapitalnego stwierdzenia. I tu jest meta duchowa i kres siły inspiracyjnej Romana Dmowskiego w stosunku do przyszłych pokoleń. Nie postawił kropki nad ‚i". Uczynili to za niego inni.

Jeżeli przyjmiemy, że cywilizacja europejska ginie i ruchy nacjonalne czy klasowe, uwikłane w świat industrialno - materialistyczny, nie zdołają jej uratować, jeżeli powiemy nadto, że Polska jedna może wyjść poza orbitę tego kryzysu, to trzeba już

koniecznie wysnuć stąd wniosek, że Polska ma podstawę do odegrania roli opatrznościowej w odwróceniu tego procesu degeneracji. Dziwne, że europejczyk tej miary, co Dmowski, przekonany głęboko o najwyższej wartości duchowej kultury klasyczno - chrześcijańskiej nie dostrzegł tego moralnego postulatu. Pisze on przecież:

„Cywilizację europejską stworzył Rzym i chrystianizm. I od jednego i od drugiego odbiegła ona na ogromną odległość. Życie uległo zbyt silnemu wpływowi czynników sprzecznych z jednym i z drugim. I to bodaj przede wszystkim odebrało jej duszę, tę mocną duszę, która umiała przeciwstawić się całej reszcie świata" („Świat powojenny a Polska", str. 333).

Zapytujemy: gdzie śp. Dmowski dostrzegał w świecie kolorowym wartości, zdolne choć w części zrekompensować te wartości, o których wspomina? A jeśli nie widział ich, to czyż nie było dlań jasnym, że upadek tej Europy byłby równoznaczny z katastrofą duchową całej ludzkości?

Europa żyła z innych części świata. Załamała się wtedy, gdy przestała im d a w a ć coś poza techniką, której one zdążyły się już nauczyć. Wniosek stąd, że Europa może odżyć, jeżeli znowu będzie miała coś do dania innym regionom globu i innym cywilizacjom, gdy zacznie pełnić swe posłannictwo duchowe, przynosząc pierwiastki twórcze, a nie agitację i destrukcję. Aby to mogło nastąpić, Europa musi — jak ptak Feniks — odrodzić się z własnych popiołów, musi s a m o s t w o r z y ć s i ę, jako nowe ognisko światła. Który z narodów europejskich ma ją ku temu dźwignąć: Rosja, Niemcy, Włochy?

Sądzimy, że żaden z nich. I mamy podstawę do twierdzenia, że narodem tym będzie Polska. Oto idea m i s j i d z i e j o w e j, oto kropka nad „i", której nie znajdujemy w pismach Dmowskiego. A przecież wizja Polski łączącej w nowy stop twórczy odwieczne pierwiastki cywilizacji klasycznej i chrześcijańskiego średniowiecza, powtarza się we wszystkich dziełach naszych filozofów i poetów mesjanicznych. Dość wspomnieć Cieszkowskiego z jego syntezą tych dwu epok, mającą się narodzić w Polsce i Słowiańszczyźnie, dość wspomnieć o teatrze Wyspiańskiego z jego Wawelem - Akropolis - Katedrą.

Dmowski był trochę mesjanistą, w tym sensie, w jakim cały obóz narodowy da się powiązać genetycznie z racjonalizmem, religijnością i słowianizmem naszych filozofów (większość ich była n.b. rodem z Poznańskiego, rdzennej domeny tego obozu); tak jak obóz rządzący dziś Polską, z jego twórcą, Józefem Piłsudskim, nawiązywał wyraźnie do romantyzmu i mickiewiczowskiej „Trybuny Ludów". Był Dmowski mesjanistą w tym, że uznawał „świętość środków" wiodących do „świętych celów", przeciwko zasadzie: „cel uświęca środki", głoszonej przez innych. Ale w sposobie jego myślenia więcej jest śladów pozytywizmu niż mesjanizmu. Dlatego może ten chłodny statysta nie chciał widzieć tej prawdy, że racją najwyższą narodu jest nie „byt sam w sobie", lecz cel nadrzędny, myśl Boża, misja dziejowa, której naród powinien służyć.

Tu sedno zagadnienia: Dmowski a nowa Polska. Bez wątpienia, wybiegł Dmowski daleko naprzód w stawianiu wskazań narodowi polskiemu. Gdy Piłsudski zwyciężył w życiu, on odnosi zwycięstwo poza grobem. Idea samorządnej, organicznej powszechności narodowej staje się aksjomatem dla pokolenia Polski idącej. Przejmuje ją od „dmowszczyków" stopniowo i obóz rządzący. Program przebudowy struktury gospodarczej narodu, w oparciu o szerokie masy ludowe i silną warstwę polskiego mieszczaństwa, biorącego w swe ręce handel i rękodzieło, staje się kręgosłupem i drogowskazem wszelkich reform w tej dziedzinie. Walka z supremacją żydostwa i z wpływami masonerii w naszym życiu publicznym przybiera wciąż na sile. I znowu podejmują te hasła najgoręcej młodsze ugrupowania „piłsudczyków", a urzędowy OZN zmuszony jest je powtarzać.

Ale i tu, w tej fazie dynamizmu ruchu narodowego w Polsce, trzeba odróżnić wyraźnie ten jego typ, który wyrósł na pożywce duchowej czerpanej z pism Dmowskiego, Balickiego i Popławskiego od nowego nacjonalizmu posłanniczego, podejmującego ideę misji dziejowej. Nie było tej idei w doktrynie politycznej i gospodarczej Dmowskiego. Dał ją Polsce odradzający się w nowych formach mesjanizm nawiązujący do Wrońskiego. Ci, co go odrzucają jako „przestarzałą metafizykę idealistyczną", sami nie wiedzą. że przemawiają już jego językiem, myślą jego kategoriami. I jest to naturalne zjawisko. Czciciele fetysza „nowoczesności", jakich jest pełno w nowym pokoleniu nacjonalistycznym nie są w stanie rozerwać związku chwili obecnej z tradycją, z rdzenną postawą duchową narodu, z największymi kreacjami jego geniuszu.

Mimo całą wielkość swego umysłu, Dmowski nie mógł się dźwignąć ponad organiczną antynomię polską, której członami najwyższymi są dzisiaj: idea narodowa i idea państwowa. Przeznaczeniem jego było właśnie postawić w całej jasności i wysublimować pierwszą z tych idej, w epoce, w której groziło Polsce pochłonięcie przez molocha formy państwowej, wyzutej z treści ideopolitycznej, jaką wlać w nią może tylko naród, świadomy siebie.

Stoi więc w dalszym ciągu przed nami zadanie rozwiązania tej antynomii nadrzędnej, przez utożsamienie narodu i państwa w całostkę absolutną. Może ono być dokonane jedynie na platformie prawdy, czyli przez rozwikłanie zagadki przeznaczeń dziejowych narodu, powierzonych mu przez Boga, a dopełnianyh przez samorzutną twórczość zbiorową. Pokrywa się to essencjalnie z pojęciem misji dziejowej, formalnie zaś z pojęciem i d e o k r a c j i, jako ustroju, zbudowanego na równowadze prawa Bożego i prawa ludzkiego, równowadze, której zwichnięcie w dobie rewolucji francuskiej było moralną przyczyną całego tego kryzysu cywilizacji, o jakim pisze wciąż Dmowski w swych dziełach.

Nowe pokolenie Polski zbliża się już do tego rozwiązania. Świadczy o tym wspólność światopoglądowa wszystkich niemal jego ugrupowań, zarówno „młodonarodowych" jak „młodopaństwowych". Ich nacjonalizm legitymuje się już posłannictwem Polski, a ich pojęcie państwa wykracza poza ten ideał „Polski mocarstwowej", którym narkotyzują się starzy, znużeni niepodległościowcy podczas świąt urzędowych. Jest to już bowiem wyraźna idea i m p e r i u m, potęgi realizatorskiej, niosącej światu pewien typ cywilizacji i usiłującej dać mu jak najszerszy zasięg władania.

Słowo wyzwalające już padło. Z jego posiewu wyrasta na miedzy dwu sił nieprzejednanych, zapa-

trzonych wciąż w dwie różne wizje Polski, potężne drzewo nowej rzeczywistości, to samo, o którym mówi Chrystus: „Podobne jest królestwo niebieskie ziarnku gorczycznemu, które wziąwszy człowiek, zasiał na roli swojej; które najmniejsze jest ze wszystkich nasion, ale kiedy urośnie, największe jest ze wszystkich jarzyn, i staje się drzewem, a ptaki niebieskie przylatując czynią sobie gniazda w gałęziach jego“ (Mat IV, 31, 32).

Nie mylili się wielcy twórcy polskiego mesjanizmu, gdy mówili, że przeznaczeniem Polski nie jest tylko: być państwem, jak inni, lecz przezwyciężyć kryzys moralny idących czasów i założyć fundamenty pod gmach „Kościoła Tryumfującego“, oczekiwanego od wieków pod mianem „Królestwa Bożego na ziemi“. Jeżeli Polska tej misji nie wypełni, ciemna noc powrotnego pogaństwa zapadnie nad Europą. A wówczas już żaden powiew optymizmu nie zrekompensuje owej pesymistycznej tezy o upadku cywilizacji, postawionej tak kategorycznie w pismach Dmowskiego.

Mens invicta manet

(Polemika z ks. Fr. Kwiatkowskim)

„Rozum góruje nad wszystkim...“.

(Św. Justyn)

W jezuickim „Przeglądzie Powszechnym“ (1 grudzień 1938) ukazał się artykuł ks. Fr. Kwiatkowskiego pt. „Wrońskizm a katolicyzm“, nawiązujący do dyskusji toczonej przez długi czas — w rubryce pod tym samym tytułem — na łamach „Zetu“.

Przyznaję się, że zamierzałem zrazu pominąć milczeniem ten nowy głos w dyskusji, jakkolwiek pragnę gorąco — jak inni wrońskiści polscy — wyświetlenia ostatecznego problemów w niej poruszanych. Dotychczasowy przebieg dyskusji mógł już zniechęcić najcierpliwszego i pełnego najlepszej woli przedstawiciela myśli wrońskistycznej. Obecne wystąpienie ks. Kwiatkowskiego pogłębia beznadziejność sytuacji, wykazuje bowiem, że z takimi przeciwnikami nie można ruszyć z miejsca zasadniczej problematyki i trzeba wciąż zaczynać „od pieca“.

Wydaje mi się, że w dyskusjach publicznych powinno się szanować trud i czas przeciwnika. Przypuśćmy, że ja znam tak dobrze tajniki doktryny Wrońskiego, że nie potrzebuję wertować jego niezliczonych dzieł, by odpowiedzieć ściśle (tekstami i interpretacjami adekwatnymi) na postawione zarzuty. Muszę jednak poświęcić i tak wiele pracy zestawianiu tych wypowiedzi, wyszukiwaniu odpowiednich cytatów z teologów katolickich itp., nie mówiąc już o samym przyoblekaniu wszystkiego w ostateczną formę. Gdyby zebrać razem wszystko, co ja sam napisałem w tej dyskusji w ciągu tych paru lat, powstałby spory tom.

Zapytuję: czy to jest w porządku, gdy się ten cały trud przekreśla i pomija, stawiając na nowo te same pytania i zagadnienia, na które dawno już podana została odpowiedź? Prawda, ks. Kwiatkowski streszcza na wstępie swego artykułu całokształt stanowiska wrońskistów; potem jednakowoż przechodzi do porządku nad niezbitymi argumentami i udowodnionymi tezami, tak jakby nic nie zostało przedyskutowane ani udowodnione. Doprawdy, człowiek wtedy macha ręką i mówi sobie: poco ja się mam męczyć? W nauce obowiązuje znajomość literatury przedmiotu i stadium obecnego rozpatrywanych zagadnień. Czyżby nie obowiązywało to w teologii?

Czy nie ma naprawdę w Polsce teologów w ścisłym tego słowa znaczeniu, z którymi można było by przeprowadzić dyskusję czy polemikę na najwyższych piętrach problematyki, bez tego ustawicznego zbiegania na parter, do propedeutycznych rozmówek o abecadle i dziecinnych przekomarzań? Przecież to obniża powagę teologii i Kościoła katolickiego. Spierając się o kwestie tak subtelne, jak relacja Credo i Cognosco, problem autokreacji bożej, idee Ducha Świętego i „rozumu absolutnego“, nie mogę przecież potykać się o to, że przeciwnicy moi nie rozumieją w ogóle o co chodzi w tych rozróżnieniach, bo znajdę się w niemiłej sytuacji tego dziada, co to przemawiał do obrazu.

I wreszcie: kwestia odpowiedzialności. Adwersarze nasi w sukniach duchownych powinni sobie z tego zdawać sprawę, że są dla szerszego ogółu czytelników autorytetem, którego twierdzenia przyjmowane są niemal jak orzeczenia ex cathedra. Muszą oni tedy ostrożnie ważyć słowa, sądy i określenia, gdyż wszelka nieopatrzność jest tu równoznaczna z nadużyciem a nawet ze świadomym wprowadzeniem w błąd, co prowadzi aż na granice nierzetelności polemicznej.

Wszelkie sugestie heretyckości czy nieprawowierności systemu Wrońskiego, tam gdzie chodzi o poglądy teologii katolickiej, nie podpadające pod kategorię „de fide definita“ uważam za niedopuszczalne przekroczenie atrybucyi. Jeszcze gorzej kwalifikuję wypowiadanie twierdzeń i sądów, które są prywatnym przekonaniem danego księdza czy teologa, w formie orzeczeń bezapelacyjnych Kościoła, czy też w imieniu całego Kościoła. Wolno mi też prosić, by nasi przeciwnicy - księża porozumieli się wprzód sami ze sobą, zanim postawią jakiś zarzut Wrońskiemu, aby nie trafiało się tak, że np. ks. Ciemniewski powiada: „Duch jest *jeden we wszystkich*, dlatego nas jednoczy w jedno mistyczne ciało“, zaś ks. Kwiatkowski: „Jeśli powiemy... że ten rozum stwórczy... to sam Duch Św. w nas, to czym różnimy się od panteizmu?“ Ja podkreślałem wielokrotnie, że „rozum absolutny“ to „Duch Święty w nas“, albo więc niech ks. Kwiatkowski wytoczy ks. Ciemniewskiemu sprawę o panteizm, albo też niechaj nie doszukuje się panteizmu w naszym stanowisku. Podobnie ma się rzecz z teologią „urzędową“. Było by lepiej, gdyby ks. Kwiatkowski skonfrontował wprzód ze sobą nieuzgodnione stanowiska teologów, zanim zarzuci jakiś błąd Wrońskiemu. Dyskwalifikuje on np. nowe interpretacje filozoficzne dogmatów z punktu widzenia niezmienności doktryny katolickiej, podczas gdy teolog K. Adam (wielokrotnie już cytowany przeze mnie) — w książce „Wesen des Katholizismus“ — pisze: „Kościół wierzy w proces rozwojowy nadprzyrodzonego poznania wiary... Kościół uczy postę-

pu wiary i to nie tylko w znaczeniu subiektywnym, lecz i obiektywnym... Sobór watykański wyraźnie definiuje dogmat, że nie tylko każdy z osobna wierny, ale także Kościół sam może i powinien wnikać coraz lepiej i głębiej w kopalnie prawdy objawionej...".

Ustalmy raz na zawsze — i, na Boga! nie powracajmy w kółko do tego samego tematu — że tylko w wypadku niektórych prawd, określonych de fide definita, ustalony jest zarówno przedmiot wiary, jak i jego tłumaczenie. W innych wypadkach przedmiot jest ustalony, ale droga do tłumaczenia coraz głębszego pozostaje otwarta. Nie dezorientujmyż więc czytelników.

Pisze ks. Kwiatkowski: „Obowiązkiem duchowieństwa jest przestrzegać przed błędami, choćby one były głoszone pod płaszczykiem filozofii narodowej". Pięknie. Ale obowiązkiem duchowieństwa jest też nie szerzyć w społeczeństwie błędnych, niesprawiedliwych, subiektywnych sądów o tej filozofii pod płaszczykiem powagi Kościoła.

Więcej skrupułów etycznych

Po tym nieodzownym wstępie przechodzę do oceny zarzutów krytycznych ks. Kwiatkowskiego. Zaznaczam odrazu, że — nauczony przykrymi doświadczeniami — nie będę tu roztaczał skomplikowanych wywodów filozoficznych, ponieważ moi wielebni dysputanci nic z nich nie rozumieją i przechodzą nad nimi do porządku dziennego. Poprzestanę na prostym odparciu polemicznym błędnych sądów, odkładając tamte rozprawy do czasów, kiedy kultura filozoficzno-teologiczna w Polsce wzniesie się na wyższy poziom.

Ponieważ ks. Kwiatkowski w artykule swym atakuje nie tylko mnie lecz i innych wrońskistów, w odpowiedzi mojej znajdą się także i ich argumenty, podane mi przez zaczepionych, bym wykorzystał je w polemice. Przemawiam tedy nie tylko w swoim imieniu (Wspominam o tym dla ścisłości dyskusji).

Ks. Kwiatkowski, stwierdzić trzeba, nie jest dobrym budowniczym. Ustawił on rusztowanie swych wywodów na bardzo grząskim gruncie, na zbyt kruchym fundamencie etycznym i intelektualnym. Konstrukcja jego artykułu jest tak dziwna, że w pierwszej chwili artykuł robi wrażenie, jakby go pisał mój ukryty sojusznik, dający mi umyślnie łatwe zwycięstwo. W pierwszej części bowiem streszcza on dość wiernie, szeroko i przekonywująco tezy religiologiczne wrońskizmu, a w drugiej podaje uwagi krytyczne błahe, nieprzekonywujące i usiłujące podważyć niektóre tylko twierdzenia wrońskistów, podczas gdy inne, równie ważne, całkiem pomija. Niewspółmierność tego zestawienia tak bije w oczy, że niewątpliwie większość czytelników „Przeglądu Powszechnego" musiała odnieść wrażenie, iż krytyk trafa kulą w płot. Nic dziwnego tedy, że i ja mogłem być zdezorientowany co do istotnej intencji artykułu.

Szybko zauważyłem swój błąd. Nie, ks. Kwiatkowski nie chciał mi dopomóc. Przeciwnie, zamiar zdyskredytowania wrońskizmu jest w jego wystąpieniu widoczny. Tylko przeprowadzenie jest niezręczne.

Ks. Kwiatkowski przypomina na wstępie, że ks. dr. J. Ciemniewski zarzucił „systemowi Wrońskiego pelagianizm". Nie zaznacza jednak, że zarzut pelagianizmu a nawet semipelagianizmu został następnie przezemnie w całej rozciągłości odparty. Podaje też ks. Kwiatkowski, że „czasopismo młodych katolików *„Pro Christo"* wskazało „na zależność Wrońskiego od żydowskiej kabały, a co za tym idzie filo- czy pro-semityzm myślowy" co „dyskwalifikuje całkowicie tego myśliciela w zdrowej opinii katolickiej i narodowej". Nie zaznacza on jednak, że atak „Pro Christo" został zdemaskowany w „Zecie" i w innych czasopismach („Merkuryusz", „Myśl Polska" i t.d.) jako kalumnia, że za kulisami tej napaści ukrywał się osławiony ks. Oraczewski, działający z inspiracji lóż masońskich, które prowadzą walkę ze znienawidzonym przez siebie Wrońskim wszelkimi środkami.

Muszę zastrzec się stanowczo przeciwko takim metodom. Mam prawo domagać się, by ksiądz katolicki, dyskutując ze świeckimi, czuł się skrępowany skrupułami etycznymi przynajmniej takimi, jakimi kieruje się ogół wiernych (jeżeli już nie świecił im przykładem). Ukrywanie przed czytelnikami katolickimi masońskiej inspiracji artykułów kalumniatorskich w „Pro Christo" uważać muszę za solidaryzowanie się z tamtym środowiskiem, co od razu wytwarza niezdrową atmosferę w polemice między mną a ks. Kwiatkowskim. Oto druga przyczyna dla której zamierzałem zrezygnować z dyskusji: ks. Kwiatkowski pozbawił mnie od razu na wstępie wiary w czystość motywów swojego wystąpienia (przyznam, że jest mi to *osobiście* bardzo przykre).

Ks. Ciemniewski, wytaczając swe zarzuty przeciw filozofii Wrońskiego, przejawił jednak maksimum dobrej woli, nie mówiąc już o klasie filozoficznej i teologicznej problemów przez niego poruszonych. Dzięki temu mogłem z nim dysputować z dobrą wiarą i z satysfakcją intelektualną. Obydwu tych elementów jestem tutaj pozbawiony. Zabieram więc głos tylko dlatego, by nie wołano, że „nie miałem kontrargumentów".

Wyjaśnienia i sprostowania

Ks. Kwiatkowski zarzuca wrońskistom niejasność semantyczną i „mętność pojęć". Pisze: „Język wrońskistów nie jest łatwy. Lubują się w wyrażeniach greckich i we frazesach idealistów niemieckich, którzy—jak wiadomo—siebie samych nie rozumieli". Pretensja trochę dziwna. Czyż język teologów jest łatwy? Czy nie lubują się oni przypadkiem także w wyrażeniach greckich? Twierdzenie, że twórcy wielkich niemieckich systemów idealistycznych nie rozumieli samych siebie jest niedorzeczne. To, że ktoś nie rozumie pism filozofa, nie jest w najmniejszej mierze dowodem, że filozof ten sam siebie nie rozumiał. Ale to odwracanie sytuacji jest bardzo częstym zjawiskiem. Ludzka zarozumiałość rozgrzesza się w ten sposób z wysiłku zgłębienia pojęć transcendentnych wyższych rzędów.

Określenie „mętność pojęć" jest względne. Każdy wyraz danego języka jest nieinteligibilny dla ludzi, posługujących się innym językiem; każde pojęcie jakiegoś systemu filozoficznego jest jasne i jednoznaczne w obrębie tego systemu, a mętne i wieloznaczne, gdy się z nim spotykamy po raz pierwszy i chcemy je traktować w oderwaniu od tej całości architektonicznej. Pojęcia wyższej matematyki są mętne dla nieobeznanych z tą dyscypliną. Tym bardziej mętne muszą być pojęcia filozofii absolutnej, tej scientia universalis, dla ludzi nie mających nawet propedeutycznego przygotowania w tej dziedzinie. Poza tym, nie-

które doktryny filozoficzne wyprzedzają współczesny stan wiedzy, odkrywają całe kompleksy nowych problemów poznawczych. konstruują metody o wyższym stopniu abstrakcji i powszechności, co okupić trzeba stworzeniem nowych symbolów i terminów. Wrońskizm jest na pewno taką doktryną. Stąd rzekoma „mętność pojęć".

To samo dotyczy zarzutu „nieścisłości". System at Wrońskiego jest tak ścisły, że zasługuje na miano „matematyki absolutu". Ś. p. prof. M. Straszewski pisze o Wrońskim w zbiorowej pracy „Polska w kulturze powszechnej": „Sposób jego wyrażania się i styl jest nader jasny, ale tak ścisły, że jednego zdania, jednej myśli przepuścić nie można" (s. 218). Powiada ks. Kwiatkowski: „Nasi wrońskiści żonglują po prostu takimi wyrażeniami, jak: „stworzenie" — „absolutny" — „rozum" — „nieśmiertelność". Trudno żebyśmy do każdej dyskusji dołączali słowniczek definicyj i terminów. Musimy założyć, że przeciwnicy nasi znają przynajmniej „Propedeutykę mesjaniczną (Elementy filozofii absolutnej)" Hoene - Wrońskiego. Używane przez nas terminy: „absolut" — „filozofiia absolutna" domagają się — zdaniem ks. K. — „zasadniczego pogłębienia". Boże! przecież dziesiątki dzieł filozoficznych Wrońskiego mają za przedmiot właśnie to „zasadnicze pogłębienie".

Lecz co tu mówić o metafizyce absolutu, o kreacjoniźmie Wrońskiego, o jego Prawie Stworzenia, skoro trzeba zaczynać od a,b,c, od wyjaśnienia takich nieporozumień, jak zaliczanie Wrońskiego do idealistów typu pokantowskiego. Ileż razy będziemy powtarzać, że Wroński jest w równej mierze przeciwnikiem jednostronnego idealizmu co i realizmu, że zajmuje wobec nich stanowisko nadrzędne, że opiera się na triadzie elementów rzeczywistości: byt — wiedza — akt, którym w filozofii odpowiadają: realizm, idealizm i pragmatyzm. Dlaczego ks. K. wmawia w nas, że wrońskizm jest to „obłędne odgrzewanie prądów skrajno - idealistycznych", kiedy to właśnie Wroński przeprowadza (w „Prolegomenach", t. I) druzgocącą krytykę idealizmu logologicznego Hegla.

Nieprawdą jest, że „Hoene-Wroński aż nadto przejął się tym „Kantowskim i Hegeliańskim chrystianizmem" zaczerpniętym z rozprawy Kanta „Religa w granicach czystego rozumu". Wroński przeciwnie — odsunął wszystkie obiekcje kantowskie i heglowskie odnośnie do religii chrześcijańskiej. Kant podważył walor filozoficzny dowodów na istnienie Boga, — Wroński, na odwrót, dał tym dowodom niezachwiany fundament rozumowy, tak, że większej pewności i oczywistości nawet sama matematyka mieć nie może. Hegel jest panteistą, Wroński zaś teistą w najgłębszym i najbardziej wysublimowanym znaczeniu tego słowa. Poza tym trzeba się zastrzec kategorycznie przeciw wymienianiu jednym tchem nazwisk Kanta i Hegla razem, obok Wrońskiego. Wroński obrał istotnie krytycyzm Kanta za punkt wyjścia dla swej teorii poznania (choć widział jego niewystarczalność i wszystkie szkopuły systemu), Hegla jednak zwalczał zawsze najbezwzględniej.

Kościół a filozofia

Mieszanie postawy religiologicznej Wrońskiego z immanentyzmem rewizjonistycznym teologii protestanckiej prowadzi ks. Kwiatkowskiego na manowce. „Pokantowska teologia protestancka pragnęła zracjonalizować całkowicie wiarę, wywieść nawet tajemnice z idei Absolutu bez bożego objawienia" — mówi ks. K. Otóż właśnie: „bez bożego objawienia". Tymczasem Wroński stoi na stanowisku, że nie można wywieść tajemnic z Absolutu bez objawienia: 1) bo już zostały objawione, 2) bo samorzutność twórcza rozumu nie rozwinęłaby się na ziemi bez tej pomocy nadprzyrodzonej. Filozofia może — według niego — uzasadnić rozumowo wiarę, ale już po objawieniu i obok objawienia. W ten sposób wiąże Wroński genetycznie rozwój rozumu z podporą wiary i łaski, czyni filozofię funkcją absolutną religii, przez co nadaje logikę i celowość całemu procesowi historycznemu. W planie Bożym — w oświetleniu Wrońskiego — rozwój rozumu ludzkiego i filozofia są mądrze uzasadnione i potrzebne, w planie ks. Kwiatkowskiego i podobnych mu teologów stają się czymś niedorzecznym i irracjonalnym.

Wrońskizm to olbrzymi, samodzielny systemat Nie wolno go „likwidować" mimochodem, przez analogie z innymi poglądami, przez orzeczenia powag kościelnych, odnoszące się do kogo innego, przez fragmentaryczne wypowiedzi konsultorów i biskupów. Semiracjonaliści Baader i Günther byli potępieni nie za szukanie rozumowego ugruntowania wiary, lecz za inne poglądy, a mianowicie Baader za panteizm a Günther za triteizm. Dedukcji rozumowej prawd objawionych a przynajmniej ich adekwatnego udowodnienia od strony rozumu szukali również św. Augustyn i św. Anzelm, a przedtem jeszcze św. Klemens aleksandryjski; oni zaś nie zostali potępieni.

Potępienie tezy Baadera i Günthera o „prawie nauczycielskim" rozumu odnosi się najwyraźniej do misji pasterskiej Kościoła, której filozofia nie może i nie powinna podważać. Ale rozum, rozważany sam w sobie, ma najoczywiściej prawo nauczycielskie, w tym sensie, że służy do zgłębiania i rozpowszechniania prawdy. Zresztą i św. Anzelm z Kantuary przypisywał rozumowi „prawo nauczycielskie", co bezstronnie stwierdzili teolog katolicki Gilson (Francuz) i teolog protestancki Barth (Szwajcar). Gilson pisze dosłownie „Karl Barth a donc pleinement raison d'ecrire: il ne peut en aucun sens être question (u św. Anzelma) d'une signification *créatrice et normative* de la ratio humaine par rapport à la vérité". Trzebaby więc potępić i św. Anzelma.

Pius IX pisze przytem wyraźnie, że filozofia powinna w rzeczach wiary „nie panować lecz służyć". Otóż filozofia absolutna pragnie właśnie służyć a nie panować w rzeczach wiary, i w tym względzie ks. Kwiatkowski i cały czcigodny kler nie ma potrzeby obawiać się o swą władzę nad duszami. Pisze wszak Wroński w „Liście do papieży", s. 24: „Jeżeli duchowieństwo jest pasterzem trzody, to filozofia absolutna, która poda dowody i utrzyma je, będzie psem pasterskim dla utrzymania trzody w zagrodzie Kościoła".

Ks. Kwiatkowski ogranicza się w swym artykule — jak sam stwierdza na wstępie — do zagadnienia „poznania Boga" w systemie Wrońskiego. Chce przeprowadzić dowód, że to adekwatne poznanie Boga i wytłómaczenie tajemnic przez rozum nie jest możliwe. Nie idzie mu oczywiście o dowód filozoficzny, inaczej bowiem zainteresowałby się wywodem mym w „Zecie" (nr 5—6, r. VII) w art. „Przyjście Parakleta w filozofii absolutnej (Odpowiedź ks. dr. J. Ciemniewskiemu i inż. G. Henslowi)", a w szczególno-

ści rozdziałami: „Substrat i narzędzie zbawienia", „Wyniszczenie substratu zła", „Sposób poznania Boga" i „Stopnie samostworzenia". Ks. Kwiatkowskiemu wystarcza niefilozoficzne, poza-naukowe pojęcie prawdy: „prawdziwe to co objawione przez autorytet najwyższy". Rozpatruje więc całe zagadnienie jedynie pod kątem zgodności z oficjalną nauką Kościoła. Jakież jednak znajduje on tutaj argumenty przeciwko tezie Wrońskiego o możliwości Cognosco religijnego?

Ks. K. powraca znów do tych paru ustępów z orzeczeń soboru watykańskiego, cytowanych już wielokrotnie w toku dyskusji. Te lakoniczne teksty, przenicowane już przez nas, przytaczane swego czasu przeze mnie jako dowód przeciwny, na korzyść tezy Wrońskiego, mają zdruzgotać całą jego doktrynę religiologiczną. Czy naprawdę nic już więcej nie można znaleźć w całej historii Kościoła i literaturze przedmiotu? Chyba rzeczywiście nic, gdyby bowiem istniały jakieś inne argumenty, przeciwnicy nasi nie omieszkaliby z nich skorzystać (przychodzi mi na myśl, co by to było, gdyby dyskusja nasza toczyła się przed zwołaniem soboru watykańskiego w r. 1857).

Chybione argumenty

Na cóż więc powołuje się ks. Kwiatkowski? Na opinię negatywną jednego z konsultorów Soboru o tych, „co przyjmują pewne fałszywe doskonalenie się wiary, w tym znaczeniu, że wiara przechodzi w wiedzę". Lecz od kiedyż to opinię konsultorów mają takie samo znaczenie, jak prawdy określone przez Kościół de fide definita? Można przejść nad tą wypowiedzią do porządku wobec tego, co piszą o tym zagadnieniu tacy teologowie, jak K. Adam w dziele „Wesen des Katholizismus" i Gilson w rozprawie „Sens et nature de l'argument de S. Anselme". Zdanie św. Anzelma ma chyba także jakąś wartość w tym względzie, zwłaszcza gdy się zważy, że cała filozofia i teologia scholastyczna wyrosła na fundamencie anzelmiańskiej tezy: „Fides quaerens intellectum" a ukoronowała się inną, również anzelmiańską, czysto rozumową przesłanką: „in Deo omnia sunt unum ubi non obviat relationis oppositio".

Z kolei cytuje ks. Kwiatkowski kanon 3 rozdz. 4:

> „Kto by rzekł, iż może dojść do tego, że dogmatom, głoszonym przez Kościół, w miarę postępu wiedzy nadane zostanie kiedyś inne znaczenie od tego, jak je rozumiał i rozumie Kościół, niech będzie wyklęty".

Prosimy dowieść — od tego jesteście teolodzy! — że Wroński gdziekolwiek nadaje inne znaczenie dogmatom głoszonym przez Kościół de fide definita, niż je rozumie sam Kościół. Prosimy o taki dowód, przeprowadzony sumiennie i poprawnie, bez polemicznych wolt.

Trzeci z tych żelaznych argumentów ks. Kwiatkowskiego (i wszystkich duchownych, atakujących filozofię Wrońskiego) to teza Soboru:

> „Nauka wiary, którą Bóg objawił, nie jest przedłożona ludzkim umysłom do badania jakby jakiś pomysł filozoficzny, lecz jako boski depozyt, złożony Oblubienicy Chrystusowej do wiernego strzeżenia oraz nieomylnego wyjaśniania".

Nie rozumiem, co to ma być za argument? Konia z rzędem temu, kto dowiedzie, że Wroński traktował naukę wiary jako „pomysł filozoficzny" a nie jako „boski depozyt". Wprost przeciwnie, on to, jedyny spośród filozofów, dał dowód niezbity boskości Chrystusa, Autora tej nauki, on dążył do wydobycia z niej całej pełni boskiego światła, jakie z niej promieniuje. A że chciał ten „boski depozyt" uzasadnić rozumowo, z tego mu nikt zarzutu czynić nie może. Wszakże sobór stwierdza, że wolno badać naukę wiary, byle nie „jakby jakiś pomysł filozoficzny". I wszak sam Kościół szuka adekwatnego uzasadnienia i wytłumaczenia prawd wiary, przynajmniej formalnie. Fides rationabila obsequium. Cała dogmatyka jest na to przykładem. Szczytowym przykładem „wiary poszukującej rozumu" są przecież traktaty o Trójcy Świętej, gdzie co do pochodzenia Osób w Trójcy Św. więcej jest czystego rozumowania jak objawienia.

Cytuje wreszcie ks. Kwiatkowski wywód biskupa Regensburga, Ignacego de Senestréy, do którego skierowano m.in. zapytanie, jaki powinien być główny temat Soboru:

> „Wielu... łudzi się fałszywym pozorem gnozy, gdy oddawszy się zanadto badaniom, jak mówią spekulatywnym, tracą pod nogami fundament wiary, a nie rozumiejąc tradycji Ojców i Szkoły, lub mając je w pogardzie, dają się porwać nowym a przewrotnym pomysłom, unoszeni wszelakim wiatrem nauki [1]). Stąd niejedni przyznają się do racjonalizmu, do Kantowskiego lub Hegeliańskiego chrystianizmu, do panteizmu, do triteizmu".

Znowu nie wiadomo, po co ks. K. powołuje się na ten ustęp. Przede wszystkim subiektywna ta opinia nie może mieć żadnego waloru, jako podstawa do oceny systemu Wrońskiego. Po wtóre, jeśli mowa w ogóle o „mętności pojęć", to jest ona możliwie najjaskrawszym jej przykładem. Po trzecie Wroński nie ma nic wspólnego ani z owym kantowskim czy heglańskim chrystianizmem, ani z panteizmem czy triteizmem, co zaś do racjonalizmu, to ma on u niego postać całkiem odmienną i nieporównywalną ze wszystkim, co znane było dotąd pod tą nazwą (Sam Wroński przeprowadza radykalne rozgraniczenie między niemiecką filozofią pokantowską, którą nazywa „chrematyczną" a swoją nową filozofią „achrematyczną", wykraczającą poza świat stworzony i sięgającą aż do istoty „niestworzonego", poza światem, w istotę Słowa stwórczego). Po czwarte Wr. nie tylko nie traci „fundamentu wiary", lecz przeciwnie jeszcze mocniej go ugruntowuje. Po piąte nie tylko rozumie tradycje Ojców Kościoła, lecz nawołuje do ich zgłębiania, jako mistrzów najczystszej doktryny katolickiej, zachowującej równowagę między łaską a zasługą, i t.d., i t.d.

Widzimy więc, jak kunsztowna budowa nielicznych argumentów z autorytetu, na których oparł się ks. K. w swej próbie dowiedzenia nieprawowierności Wrońskiego, rozsypuje się w gruzy. Dwa z nich nie mają żadnego waloru autorytatywnego (opinia „jednego z konsultorów" oraz pogląd osobisty biskupa Regensburga), dwa inne są wprawdzie orzeczeniami Soboru, ale nie odnoszą się do Wrońskiego.

---

[1]) Nawiasem mówiąc, metafora „wiatr nauki" jest bezsensowna, nauka bowiem ma swoje pewniki i linie rozwoju, niektóre zaś dyscypliny, jak np. logika, zwłaszcza zaś matematyka, ugruntowane są na posadzie niewzruszalnej i żaden biskup Regensburga nie uniesie z wiatrem tej prawdy, że 2 + 2 = 4.

Rozum a tajemnice

Pozostaje jeszcze jedno pouczenie Soboru o granicach poznania tajemnic bożych przez rozum stworzony:

Rozum, oświecony wiarą, o ile pilnie, pobożnie i trzeźwo szuka, osiąga przy bożej pomocy niejakie (aliqualem) poznanie tajemnic, tak z analogii tego, co przyrodzoną siłą poznaje, jak i ze związku, zachodzącego pomiędzy tajemnicami, a także z celem ostatecznym człowieka.

A więc jest związek między celem ostatecznym człowieka a tajemnicami. Im doskonalsze przeniknięcie celów człowieka, tym doskonalsze poznanie tajemnic. Otóż Wroński, odkrywca prawa postępu i prawa stworzenia, wzniósł się najwyżej pomiędzy filozofami ku poznaniu celów ostatecznych człowieka. Ergo! zdobył najdoskonalsze poznanie tajemnic.

Ale Sobór powiada dalej:

Nigdy jednak nie staje on się zdolnym do p r z e j r z e n i a i c h na kształt prawd, które stanowią właściwy przedmiot poznania.

Słusznie. Idzie tu bowiem o prawdę absolutną, niewarunkową, ta zaś nie może stać się j e d n y m z p r z e d m i o t ó w p o z n a n i a. Naucza tego Wroński z całym naciskiem w swojej doktrynie gnozeologicznej. Jednym z przedmiotów poznania może być tylko to, co zewnętrzne, warunkowe, względne do rozumu. Charakter poznania polega właśnie na tym ujęciu bytu przez wiedzę, czyli na ustosunkowaniu wiedzy do czegoś, co nią nie jest. Tę cechę warunkowości mają nawet aksjomaty logiki, wskutek czego logizm (to, co religia zwie „rozumem stworzonym") nie jest w stanie sięgnąć do absolutu. Jednakże absolut ten, pierwiastek hiperlogiczny, ROZUM SAM W SOBIE, ostaje się i choć nie da się ująć, atrahuje jak magnes naszą wiedzę.

Sobór dodaje:

„Albowiem tajemnice boże ze swej natury tak przewyższają rozum stworzony, że nawet po udzielonym objawieniu i po przyjęciu wiary pozostają zakryte zasłoną samej wiary... i t.d.".

Istotnie, bo ten pierwiastek boski, „rozum sam w sobie", nie dający się ująć jako przedmiot poznania, to ROZUM STWÓRCZY, transcendentny wobec „rozumu stworzonego". Ujmuje on sam siebie — ponad relacją zewnętrzną wiedzy do bytu — jedynie przez akt intuicji stwórczej, czyli, mówiąc po prostu: p r z e z s a m o s t w o r z e n i e. On nie „istnieje", w naszym rozumieniu tego słowa, on się stwarza (creatio ex nihilo). To jest właśnie ta tożsamość bytu i wiedzy, która jest podstawową ideą doktryny Wrońskiego.

Czy zrozumiał teraz nasz krytyk w jakim sensie mówiłem, że orzeczenie Soboru odnosi się do „rozumu stworzonego", podczas gdy Wroński — pisząc o zniesieniu tajemnic — ma na myśli „rozum stwórczy"? Wiem, odpowie on na to, że „Soborom nie chodzi o te czy inne wyrażenia filozoficzne" tylko „ o ten rozum konkretny, który człowiek posiada". Ale to trywializowanie problemu nic mu nie pomoże. Nie są to bowiem „wyrażenia filozoficzne", lecz fakty metafizyczne, straszliwie oczywiste, na które natrafia od wieków każda filozofia i każda religia, i których nikt i nic nie zdoła obalić. „Rozum sam w sobie", bóstwo żywe, istnieje. Rozum stwórczy nie jest fikcją. A dostęp doń możemy mieć tylko poprzez nasze ja, poprzez duszę ludzką, nigdy zaś poprzez świat zewnętrzny.

Rozum stworzony w nas, ta „władza skończona bytu skończonego", to tylko forma owego rozumu stwórczego, powstała z ustosunkowania wiedzy do bytu w warunkach egzystencji. W momencie śmierci relacja ta przestaje istnieć, znika bezpowrotnie, a pozostaje tylko sam „rozum stwórczy", podmiot absolutny, dusza nieśmiertelna, jako jedna z nieskończonych form rzeczywistości bożej.

Zapytuje ks. Kwiatkowski: jeżeli „ten rozum „stwórczy" to rozum identyczny z bożym, to Logos, to sam Duch Św. w nas, to czym różnimy się od panteizmu?" Powinien zadać to pytanie ks. Ciemniewskiemu ,który powiada — idąc w tym za św. Atanazym — że życie nadprzyrodzone duszy, „narodzonej po raz wtóry" na chrzcie św., to Chrystus — nowy człowiek i to „Duch Św. w nas". Jest oczywiste, że nie może tu być mowy o panteizmie. Chroni tu odeń byt własny i odrębny dusz, ustawiający je w relacji do Boga i do innych istot rozumnych, chroni świadomość „ja", ukształcona przez cały przebieg żywota ziemskiego. Zresztą to właśnie u teologów widzę skłonność nadmierną do panteizmu, do opierania bytu dusz tutaj i po śmierci wyłącznie na łasce (heterotezji) bożej; Wrońskiemu zazwyczaj zarzucacie coś wręcz przeciwnego niż panteizm, bo przerost autonomii ja człowieczego.

Rozróżnić byt i wiedzę

Ks. Kwiatkowski upiera się przy twierdzeniu, że ten „podmiot transcendentalny", ten rozum powszechny, tożsamy co do natury z rozumem bożym, jest wymysłem wrońskistów. Kościół dziękuje wrońskistom — powiada on — „ofiarującym mu usługi nieistniejącego w nas rozumu stwórczego". A jednak na aktualność w nas tego „podmiotu transcendentalnego" natrafił już Kartezjusz, formułując słynny swój entymemat: Cogito ergo sum (myśl sama w sobie, której bytem jest samo myślenie!). Przecież zatwierdził ją Kant w swej idei „podmiotu bez orzeczenia", pozbawionego jakiejkolwiek substancji w świecie zjawisk i w kategoriach rozsądku i poszukującego jej w absolucie, w idei wolności, w Bogu.

Niewystarczalność tomizmu, podkreślona przez J. Stępniewskiego, tkwi właśnie w tym, że nie wznosi on się jeszcze do tej kartezjańskiej idei, że jest przestarzały w stosunku do tego kopernikańskiego przełomu. Oto dlaczego wrońskiści polscy uważają za fatalne zjawisko kurczowe trzymanie się tomizmu przez katolicyzm współczesny. Dopiero od Kartezjusza, a ściślej od Kanta, można mówić o odróżnieniu się wiedzy samej w sobie od bytu, czyli o rozpoznaniu elementów rzeczywistości absolutnej. Prawda, że dostrzeżony przez Arystotelesa dualizm materii i formy, a potem dualizm substancji i essencji stwierdzony przez filozofię scholastyczną, antycypował ten charakter rzeczywistości,ale rozumiał te pojęcia jeszcze dogmatycznie, bez perspektywy transcendentalnej.

Skoro więc ks. Kwiatkowski, broniąc tezy różności essencjalnej rozumu ludzkiego i boskiego, pisze: „Trzeba by tu rozprowadzić cały traktat analogii bytu", odpowiadamy, że nic by to nie pomogło, dopóki teologowie nie rozgraniczą dokładnie i wyraźnie elementów rzeczywistości: bytu i wiedzy. Niech ks. K. przeczyta sobie Eryka Przywary „Analogia entis". Przekona się wówczas naocznie, jakie to tam wszystko jest pogmatwane i to właśnie z braku rozróżnienia

Już ukazał się

rocznik filozoficzno-matematyczny

WRONSKIANA

pod redakcją

JERZEGO BRAUNA

Objętość 262 str. Cena 10 zł.

Skład główny: Gebethner i Wolff

Warszawa

...„Chcemy dać Polsce, przeżywającej głęboki kryzys duchowy i postawionej po środku gwałtownej walki idej i prądów społeczno-politycznych, bazę odrodzenia umysłowego i moralnego. Chcemy dopomóc polskiej świadomości narodowej do samopoznania i samookreślenia się w historii, przez wydobycie na jaw potężnych i niezniszczalnych wartości, jakie tkwią w jej filozofii. Chcemy wyrugować z Polski obce doktryny powodujące zamęt pojęć, ugruntować szacunek dla myśli i przyzwyczajać do dyscypliny intelektualnej. Chcemy przygotować falangę pracowników naukowych, którzy w przyszłości potrafią wypełnić tę dotkliwą lukę, jaką jest brak wykładowców filozofii polskiej, a w szczególności wielkich polskich systemów metafizycznych ub wieku na naszych uczelniach. W ten sposób chcemy zapewnić Polsce to miejsce w kulturze współczesnej, jakie jej przynależy z tytułu jej ogromnego dorobku w świecie wartości duchowych"...

SPIS TREŚCI:

1939

Do nabycia we wszystkich księgarniach

oraz w administracji „Wronskianów", Warszawa, Wilcza 65 m. 1

Wpłaty na konto P. K. O. nr 153.210, Jerzy Braun, Warszawa

Na żądanie wysyłamy za zaliczeniem.

elementów rzeczywistości i z powodu nieznajomości Prawa Stworzenia. Ale i u Przywary pojawiają się już jakieś takie intuicyjne rozróżnienia i określenia: a) „die Problemmöglichkeiten eines aposteriorischen Apriori und eines apriorischen Aposteriori", b) „Kreatürliche Metaphysik", c) „Metanoetik und Metaontik", itd.

Gdyby ks. K. pojął na czym polega to rozróżnienie elementarne bytu i wiedzy, nie pytałby już, co oznaczają terminy: „absolutny", „stworzenie" i t.p., u wrońskistów, nie dopatrywałby się też sprzeczności w pojęciu „samostwarzania się Boga". Wiedza i byt są niczym w oderwaniu. Gdy się zetkną ze sobą, powstaje rzeczywistość: oto „stworzenie". Bóg stwarza siebie wieczyście, utożsamiając w sobie byt i wiedzę przez AKT. Bóg stwarza świat, rozłączając utożsamione pierwotnie elementy bytu i wiedzy. Rozmaite stopnie rzeczywistości, przysługujące stworzeniom, zależą od rozmaitości tych połączeń. Wchodzi tu w grę działanie Prawa Stworzenia. „Apodyktyka" Wrońskiego, oto najwspanialszy traktat analogii bytu, o jakim teologom dotąd się nie śniło.

Zagadnienie to wyjaśniałem wielokrotnie w toku dyskusji. I oto znów „w koło Macieju". Cóż począć, gdy ktoś nie może czegoś zrozumieć. Bodajże najlepiej było by wykuć to na razie na pamięć, a stopniowo może ta idea jakoś przeniknie do umysłu. Tak przynajmniej poczynały sobie w średniowieczu szkoły klasztorne.

Ks. K. żongluje nazbyt często zarzutem sprzeczności. Widzi ją m.in. w pojęciu „samostwarzania się Boga". Niech się o to prawuje raczej z dogmatyką katolicką ,która twierdzi: „Syn Boży wciąż się rodzi (na nowo) i wciąż jest stworzony". Czym to jest lepsze od twierdzenia: „Bóg wciąż się stwarza i wciąż (odwiecznie) istnieje". Czy ks. Kwiatkowskiemu nic nie mówi to ustawiczne „fieri" w Bogu, którym wyjaśnia teologia katolicka problem najwyższy pochodzenia Osób Bożych w Trójcy Świętej? Albo scholastyczne określenie św. Tomasza, że Bóg to „actus purissimus", najczystszy akt, a więc „czyn sam w sobie"? A zresztą odkąd że to ks. K. przykłada logiczne kryteria sprzeczności do idej hiperlogicznych, do rzeczywistości nadprzyrodzonej? Czyż nie powiadał sam, że to tajemnice, przechodzące „rozum stworzony"? Pisał wszak J. Stępniewski, pisałem i ja, że „samostwarzanie" to najwyższa idea transcendentalna, a więc „tajemnica tajemnic", od której pochodzą wszystkie inne? Czyż więc ks. K. nie popełnia sam sprzeczności, gdy chce logicznie zbijać tę ideę?

Ale ks. K. nie jeden raz zaplątuje się w sprzeczność (i to zazwyczaj tam, gdzie ją zarzuca przeciwnikom). Pisze np.: „A jakiż brak pogłębienia istoty bożej zdradza drugie jego (Cz. J. Kozłowskiego) a tak zasadnicze twierdzenie, że „rozum człowieka może się różnić od bożego tylko stopniem a nie naturą". Boże miłosierny! Jak można komuś zarzucać „brak pogłębienia istoty bożej", jeżeli się z góry założyło, że ona — przynajmniej tu na ziemi — *jest niepoznawalna!* „Można wiedzieć, że Bóg jest, ale nie czym On jest" — oto zasadnicza śpiewka naszych zawodowych teologów. Więc skąd nagle ta pretensja?!

„Dwa rozumy" — to absurd

Tu przechodzimy do głównej tezy artykułu ks. Kwiatkowskiego: *rozum ludzki różni się od rozumu bożego nie tylko stopniem ale i naturą.* Nie istnieje w nas żaden „rozum stwórczy". Rozum stwórczy, to Bóg; człowiek to tylko „rozum stworzony". Istnieją więc DWA ROZUMY.

Zanim zastanowimy się nad konsekwencjami tej tezy, pozwolę sobie zadać jedno dyskretne pytanie: dlaczego kamień, roślina i zwierzę nie mogą oglądać Boga, czy nie dlatego, że nie mają żadnego podobieństwa natury z Bogiem? A cóż stanowi o podobieństwie natury z Bogiem, jak nie *rozum?* Jeżeli człowiek nie ma w sobie podobieństwa natury z Bogiem, to i on nie może oglądać Boga, ani w tym ani w przyszłym życiu. A jeśli on może, to mogą również: kamień, roślina i zwierzę. Czy ks. Kwiatkowski zgodzi się na to, że kamień, roślina i zwierzę są zdolne do oglądania Boga, mają „potentiam oboedientialem" do widzenia uszczęśliwiającego?

„Entre la foi et l'intelligence — pisze katolicki teolog Gilson — il y a une différence de nature; entre l'ntelligence et la vision béatifique, il y a une différence de degré, qui est proprement infinie, mais ce n'est qu'une différence de degré". (Pomiędzy wiarą a inteligencją (rozumem) istnieje różnica natury; między inteligencją a widzeniem uszczęśliwiającym istnieje różnica stopnia, która jest właściwie nieskończona, ale j e s t t o t y l k o r ó ż n i c a s t o p n i a" [2]).

Jest to jasne jak słońce. Zdanie O. Lacordaire'a: „Rozum w Bogu i w człowieku na dnie swej istoty jest ten sam", zgodne jest najzupełniej z tradycyjnym stanowiskiem anzelmiańskim, potwierdzonym przez Gilsona. Nie jest ono „wyrwane z kontekstu", jak imputuje nam ks. K. Sugestia ks. Kwiatkowskiego, że „wyrwaliśmy" to zdanie z całości w ten sposób, że nadaliśmy mu inny sens, jest czymś niedopuszczalnym. Proszę udowodnić to na podstawie kontekstu, a nie wykręcać się od rozprawy z tak zasadniczym argumentem.

Nie, nie istnieją dwa odrębne rozumy: boski i ludzki. Gdyby tak było, żaden człowiek nie mógłby być zbawiony. Tylko jedność istoty rozumu, ta „powszechność" „Ducha Świętego w nas", o której mówił ks. Ciemniewski, stanowi substrat zbawienia i nieśmiertelności duszy. Skoro bowiem — po rozłączeniu wiedzy i bytu (duszy i ciała) — zniknie ów „rozum stworzony", będący ich relacją wewnętrzną, cóż w nas zostanie, gdzie będzie to „ja", przeznaczone do nieśmiertelności, jeżeli nie istnieje „na dnie" sam rdzeń duszy, „rozum stwórczy", wiedza sama w sobie? Gdyby zaś ta nasza wiedza, oderwana od ciała, była różna od bóstwa nie tylko stopniem, lecz i naturą, to by nie mogła oglądać Boga (mówi wszak św. Tomasz, że substancja boska może być widziana tylko przez „intelekt").

A zresztą co tu dużo rozprawiać, przecież uczy nas Pismo Św., że Bóg stworzył ludzi na obraz i podobieństwo swoje. Jeżeli człowiek nie ma podobieństwa natury z Bogiem, to jak Chrystus może mówić do żydów: „Synami bożymi jesteście". Przecież ks. Kwiatkowski nie stoi chyba na stanowisku Talmudu, że tylko żydzi są Synami bożymi, jednej z Nim natury, a reszta ludzi to tylko dwunożne zwierzęta, mające wprawdzie rozum, ale pozbawione tego podobieństwa natury. My wolimy iść w tym względzie za

---

[2]) Podkreślenie moje.

św. Piotrem, który wyraźnie mówi o „deificatio" człowieka, niż za ks. K. i za Talmudem.

Trzymamy się tej tezy, prawdziwie katolickiej, z tym większą żarliwością, że dostrzegamy wszystkie konsekwencje — iście diabelskie! — tezy przeciwnej. Jeżeli bowiem rozum ludzki, jako różny od bożego, nie jest absolutny i nie może mieć o niczym pewności bezwzględnej, jeżeli źródłem wiedzy o rzeczach nadprzyrodzonych jest w nim tylko *objawienie*, to skąd mam pewność, że objawienie pochodzi od Boga, a nie od diabła? Straszne są manowce, na które chce sprowadzić myśl ludzką teza ks. K. o dwu rozumach.

Diabelskie konsekwencje

Jeżeli są DWA ROZUMY, to i dwie prawdy: boska i ludzka. W takim razie prawda boska jest dla człowieka nieprawdą. Bóg każe wierzyć człowiekowi w to, co rozum ludzki — nadany nam przez Boga — musi uważać za nieprawdę. A wiec stosunek człowieka do Boga ma się opierać na fałszu. Przecież to potworność!

Przyjmijmy, że człowiek uzna w swej pokorze, że prawdą jest tylko to, co zgodne z rozumem Boga. W takim razie jednak traci on zaufanie do własnego rozumu i wszelkie jego twierdzenia stają się dlań bez wartości. A jeżeli w s z e l k i e t w i e r d z e n i a, to i twierdzenie o istnieniu Boga, które poprzedzać ma przyjęcie od Boga prawdy objawionej (t.zw. preambula fidei).

Na podstawie tezy ks. Kwiatkowskiego doszliśmy więc do obalenia tej preambula fidei, czyli fundamentu doktryny katolickiej!

Rozum jest poto, by prowadził do jedności, czyli do p o r o z u m i e w a n i a s i ę. Jeżeli rozum człowieka jest inny, niż boski, to po co Bóg dał człowiekowi rozum? Człowiek nie będzie mógł nigdy pojąć Boga, a Bóg nie będzie mógł pojąć człowieka. Nie będzie więc możności porozumienia się; a wówczas stworzenie rozumu ludzkiego mija się z celem. To tak jakbym ja mówił po polsku a syn po chińsku. Pocóżbym dawał synowi inny język, aby się nie mógł ze mną porozumieć.

Teza ks. K. sprowadza do absurdu dzieło stworzenia, którego koroną przecież jest człowiek.

Jedynym celem stworzenia rozumu ludzkiego w ten sposób, by nie mógł on się porozumieć z Bogiem, byłoby chyba to, by człowiek cierpiał wieczyście męki z powodu tej niemożności zrozumienia prawdy. Ale w takim razie Bóg byłby jakimś okrutnym sadystą. Nie damy sobie zasugerować takiego wyobrażenia Boga. Jesteśmy spokojni. Któż to bowiem twierdzi, że istnieją dwa rozumy: Bóg czy człowiek? Twierdzi to człowiek (ks. Kwiatkowski). Bóg mówi coś wręcz przeciwnego: Synami bożymi jesteście.

Ks. K. zarzuca nam „brak pogłębienia natury bożej". Podług niego ten zgłębi (zrozumie) prawdziwie naturę bożą, kto pozna, że Bóg jest całkiem n i e z r o z u m i a ł y. Czy ks. K. nie dostrzega, w co się wplątał? Czy nie pojmuje, że „całkiem niezrozumiały" jest właśnie diabeł?

Istotą satanizmu jest i n d y w i d u a l i z a c j a w i e d z y. Tak wyobrażają sobie tajne sekty masońskie istotę demonów, wypełniających przestwór. Żadnego „świętych obcowania". Świat jako mrowie odrębnych indywiduów, nie mających ze sobą wspólnego języka. Taką interpretację zła potwierdza Pismo Św.: „I będą odrzuceni w ciemności zewnętrzne..." Niemożność zrozumienia Boga i porozumienia się wzajemnego między duszami — oto sens idei piekła i potępienia.

Otóż do tego właśnie prowadzi w swych konsekwencjach teza ks. Kwiatkowskiego. Bo jeśli istnieją dwa rozumy różne i nie wiadomo, który z nich posiada prawdę, to musi być i trzeci rozum, który by mógł objąć oba i stwierdzić, co jest prawdą; zaś prawdziwość twierdzenia tego trzeciego musiałby stwierdzić czwarty i tak w nieskończoność. Doszlibyśmy wreszcie do tego, że istnieje tyle rozumów odrebnych, ilu ludzi. Oto „indywidualizacja wiedzy", a więc: satanizm.

Straszne wnioski prowokuje ks. K. swoją tezą. Skoro bowiem nie możemy nic wiedzieć na pewno, to nie warto zgłebiać prawdy. Wiem, że w mniemaniu ks. K., winniśmy rzeczywiście zrezygnować z użytku naszego rozumu odnośnie do prawd transcendentalnych i poddać się w tym względzie orzeczeniom Kościoła. Ale czy przypomina sobie ks. K., że takim właśnie jest Antychryst w ujeciu Dostojewskiego: MONOPOLIZUJE ROZUM I ZAKAZUJE GO UŻYWAĆ. A cóż innego robi bolszewizm?

Apage satanas! To wszystko nie ma nic wspólnego z prawdą. Kościół nie boi sie rozumu i nie odrzuca filozofii, która „omnia scrutatur, etiam profunda Dei!" Woła wszak teolog: „Bez filozofii zginie Kościół niechybnie, jak bez światła słonecznego przepadłoby wszystko".

Problem pewności w religii

Porzućmy te mroki błedu. Łatwo je rozproszyć prostym rozumowaniem: Skoro rozum ludzki, z natury swej inny, zdolny jest również poznać prawdę, w takim razie rozum Boga nie jest absolutny, lecz względny do tego drugiego rozumu. Jeżeli zaś wnioski tego drugiego nie prowadzą do prawdy, to i wniosek o istnieniu dwu rozumów jest nieprawdziwy, a przynajmniej niepewny.

W obu tych wypadkach teza ks. Kwiatkowskiego o istnieniu dwu rozumów okazuje sie tak błaha, że już wiecej nie warto się nią zajmować. Pierwszy wniosek bowiem, wynikający z tej tezy, jest sprzeczny z pojeciem Boga;drugi obala prawdziwość własnego twierdzenia ks. K.

Gdyby nie to, że chcieliśmy wykazać ks. K. absurdalność jego twierdzenia, przeszlibyśmy nad nim do porządku. Jest bowiem jasne, że chciał on przy pomocy tej tezy wykazać nieprawowierność Wrońskiego. A w tym wypadku nie potrzebowaliśmy go zbijać. Bo jeśli sądy rozumu ludzkiego są względne i niepewne, to i sąd ks. K. o doktrynie Wrońskiego jest względny. Dowodzenie zaś, że potępia on tę doktrynę na podstawie orzeczeń Kościoła, jest tak długo bezwartościowe, dopóki nie istnieje w tym względzie orzeczenie ex cathedra, odnoszące się specjalnie do Wrońskiego. Ks. K. przemawia tu całkiem subiektywnie i jego interpretacje mogą być mylne (jak tego dowiodłem powyżej).

A wreszcie, jeśli przyjmiemy, że katolicyzm jest prawdą absolutną, to pocóż trudzić się kunsztownym dowodzeniem, że Wroński jest niezgodny z katolicyzmem. Czy nie lepiej wykazać po prostu, że jego doktryna jest niezgodna z p r a w d ą, a więc z rozumem? Ks. Kwiatkowski nie czyni tego. A przecież to jedyne kryterium godne filozofa i teologa zara-

zem. Jeżeli Wroński się myli, prosimy o dowody. A jeśli ma rację, a katolicyzm ją odrzuca, to katolicyzm znajdzie się poza prawdą.

My się tego nie boimy. My mamy wyższe pojęcie o katolicyzmie, niż ks. K. My twierdzimy, że katolicyzm może się rozwinąć aż do ogarnięcia *wszelkiej prawdy,* ks. Kwiatkowski temu przeczy. Zamyka on więc katolicyzmowi drogę do prawdy absolutnej. Pisze wszak wyraźnie: „Kościół nie uczy, że posiada prawdę „absolutną“, w znaczeniu „wszystką“ prawdę,tylko uczy, że mamy pewność „absolutną“, co do niektórych prawd rozumowych i objawionych“. Ogranicza więc ks. K. zakres pewności i znajomości prawdy Kościoła katolickiego.

Ale i w tym twierdzeniu jest ks. Kwiatkowski nieścisły, ba, niezgodny z nauką Kościoła. Prosimy, niechże nam wskaże jakikolwiek poważny, uznany przez powagi kościelne podręcznik dogmatyki albo teologii fundamentalnej, gdzie by coś podobnego było napisane. Właśnie, że nie ma i nie może być takiej pewności „absolutnej“ w rzeczach wiary, nawet co do „niektórych“ prawd. Gdziekolwiek by taka pewność powstała, tam od razu Credo zamieni się w Cognosco, wiara w wiedzę. Może chodzi tu o preambula fidei (rozumowe dowody na istnienie Boga)? Ale i tu mamy tylko pewność „moralną“ i „pośrednią“, a nie „absolutną“. Tak samo co do objawienia jako faktu historycznego ‚możemy mieć tylko pewność „moralną“ i pośrednią a nie absolutną, czyli bezpośrednią. Tak uczy Kościół katolicki i teologia katolicka na Zachodzie, co pozostaje w zgodzie z założeniami całej doktryny katolickiej. Nic nam nie wiadomo, by w Polsce istniała jakaś szkoła teologiczna, która naucza czegoś innego. Albo tedy ks. K. staje się podświadomie wrońskistą (z czegobyśmy się bardzo cieszyli) albo po prostu nie zna dobrze teologii katolickiej.

Absolutny akt przyznania to nie to samo, co pewność absolutna wiedzy. Być może, że ks. K. nie przemyślał gruntownie pojęcia pewności i stąd te nieporozumienia. Im większa pewność, tym mniej momentów wiary. Ergo: tam gdzie jest pewność absolutna, tam znika wiara, przemieniając się w absolutne Cognosco. Tak samo mówi św. Tomasz: „w co się wierzy, tego się nie wie, co zaś się wie, w to nie potrzeba dopiero wierzyć“ (impossibile est, quod ab eodem idem sit scitum et creditum, S. Th. 2 - 2p. qu. 1 a, 5 c; De Ver. qu. 14 a 9).

Dla św. Tomasza niemożliwym jest jednocześnie wiedzieć i wierzyć. A jednak — podług św. Augustyna i św. Anzelma — może być i tak, że się coś wie na pewno a jednocześnie się wierzy. Wiedza bowiem odnosi się do intelektu (rozumu spekulatywnego) a wiara do woli (rozumu praktycznego) (fides viva et mortua). Jak mówi dogmatyk Pohle: wiedza polega (w religii) na poznaniu Boga, jako takiego (że jest), wiara na autorytecie Boga objawiającego się. Wiedza odnosiłaby się więc — w katolicyzmie — do preambula fidei, wiara natomiast do prawd objawionych ściśle. A jednak św. Anzelm powiada: „Fidei rationem post eius certitudinem debemus exurire“. Moment wiary i łaski — pomimo Cognosco absolutnego — w rzeczach religii pozostanie zawsze, odnosi się on bowiem do woli. Można przecież Boga z absolutną pewnością poznać, a jednak się od Niego praktycznie odwrócić, za pomocą woli.

Widzimy tu więc jasno, jak mają się do siebie wiedza i wiara, rozum i wola. Rozum poznaje niedostatecznie pewne prawdy religijne (tu mamy „poznanie cząstkowe“, o które pyta ks. K., wynikające ze skażenia natury i niedostatecznego rozbudzenia samorzutności rozumu!); powstaje stąd niejako luka w rozumie, którą zapełnia wola. Stąd rodzi się wiara i tu miejsce na *łaskę,* bo wola może również skłonić rozum w odwrotnym kierunku, a mianowicie w kierunku luki w poznaniu (niewiary).

Sami teologowie jeszcze nie jasno zdają sobie sprawę, jak pogodzić moment wiary, łaski, wiedzy, woli i zasługi. Szczególnie pojęcie wiary nie jest dokładnie zdefiniowane (vide Pohle, t. I, str. 40 „Auflösung einer Enantiophanie“). Pocóż więc ks. K. zarzuca wrońskistom niedostateczną znajomość „zasad filozofii i teologii katolickiej“ w tej dziedzinie.

Wrońskizm a tomizm

Gorszy się ks. K. ,że wrońskiści mieszają filozofię z teologią. A wszakże to jezuita ks. Eryk Przywara pisze wspaniały traktat: „Religionsphilosophie katholischer Theologie“. Granice filozofii i teologii są idealnie jasno przeprowadzone w dziełach Wrońskiego, co nie znaczy oczywiście, by w aspekcie absolutnym nie widział on korelacji między nimi — tak, jak między filozofią a nauką — w ramach jedności rozumu i prawdy.

„Nie przystało też — pisze ks. K. — w filozofii powoływać się ciągle na Pismo św.“ Czyżby ks. Kwiatkowski wciąż upierał się przy istnieniu dwu prawd, jak przy istnieniu dwu rozumów? Zresztą Wroński powołuje się na Pismo Św. w filozofii religii, a nie czyni tego n.p. w filozofii muzyki ani w filozofii ekonomii. Poza tym nasi adwersarze z grona duchowieństwa zmuszają nas sami do powoływania się na Pismo Św., bo nie chcą od nas argumentów rozumowych, lecz zgodności z autorytetem.

Gorszy się ks. K. tym, co napisał J. J. Stępniewski o doktrynie św. Tomasza i jej wersji neotomistycznej („Błagamy Opatrzność, aby dozwoliła nam rozkuć te więzy!“). Obłudne to zgorszenie! Cóż bowiem pisze jezuita O. P. Lippert: „Ach, Kościele katolicki Aniele Ty Pański, Ty Rafaelu, którego Bóg przydzielił nam na czas naszego pielgrzymowania! Obyś zawsze znajdował w sobie tyle siły, abyś mógł stawiać tak wielkie kroki, abyś sam mógł znowu r o z s a d z i ć skostniałe i przestarzałe formy. Kościele katolicki, Ty Aniele Pański, obyś zawsze miał dość siły poruszać swoimi skrzydłami, tak, by się od nich zerwał wicher i zdmuchnął pył całych stuleci“.

Swoim to uchodzi, ale biada coś podobnego napisać wrońskiście!

Filozofia absolutna ma za przedmiot samą tylko czystą, niewarunkową prawdę. Sprowadza do jedności obydwa jej aspekty: filozoficzny i religijny. To jest jej posłannictwo. Czynił to i św. Tomasz, w warunkach swego czasu i przy pomocy metod ówczesnych. (Śmieszne jest nb., gdy mówią o przestarzałości wrońskizmu ci, którzy jednocześnie chcą nawrócić świat myśli do wcześniejszego o kilka wieków Akwinaty). Czemuż rzucacie kamieniem na Wrońskiego, który podjął to samo, tylko przy pomocy nowych, doskonalszych narzędzi poznania? Czy dlatego, że nawiązywał do Kartezjusza i Kanta, do filozofii transcendentalnej? Ależ tolerowaliście arystotelizm u św. Tomasza, tolerujcież więc kantyzm u Wrońskiego,

tym bardziej, że wykracza on poza granice nakreślone przez Kanta.

Powiecie, że św. Tomasz uznał powagę Kościoła. Ależ uznaje ją i Wroński. Powiecie, że przyznawał człowiekowi tę moc, którą rezerwujecie wyłącznie dla łaski bożej. Lecz to nieprawda, bo głosił on równowagę łaski i zasługi, co jest ortodoksalną doktryną najczystszego katolicyzmu Ojców Kościoła.

O cóż wreszcie chodzi?

Więc o cóż wreszcie chodzi. Wiem: o to „że Wroński wzniósł się na wyżyny bezpośredniego poznania prawd nadprzyrodzonych". Lecz dotąd nikt z naszych polemistów nie podał wystarczającego dowodu, że takie poznanie jest niemożliwe. Źle też rozumuje ks. K. gdy szydzi, że Wroński wzniósł się do tego poznania „przed swą śmiercią", a więc „wbrew swemu systemowi". W systemie Wrońskiego nikt nie doszuka się sprzeczności, bo jej tam nie ma. Co innego poznanie istoty wnętrznej absolutu (w Bogu), a co innego akt subiektywny samostworzenia. Co innego poznać warunki rozumowe nieśmiertelności, a co innego urzeczywistnić je (zaktualizować) w momencie śmierci. Mówiąc popularnie: co innego znać wszystkie warunki samolotu, a co innego skonstruować go samemu.

Zresztą pisałem wyraźnie, że chodzi tu o poznanie istoty wnętrznej Boga per analogiam (obacz art. „Przyjście Parakleta w filozofii absolutnej"), poprzez strukturę ontologiczną rozumu absolutnego, który jest „ten sam w Bogu i w człowieku". Powoływałem się przy tym na zdanie O. Rousselot: „Aby istota Boska mogła być oglądaną (poznaną), trzeba, by intelekt widział ją przy pomocy Niej samej, oraz aby w tym poznaniu (widzeniu) stała się równocześnie przedmiotem i środkiem poznania".

Ale ks. K. — jak się zdaje — nie zadał sobie trudu poznania mych rozważań w tym zakresie. I stąd te ustawiczne qui pro quo. Nie zrozumiał też widocznie tego, co pisałem o filozofii, jako dziele Ducha Świętego. A dopóki ten charakter dwoistości w Duchu Świętym t.j. działania Jego w dziejach poprzez religię i filozofię jednocześnie, nie będzie pojęty przez naszych teologów, trudno będzie pozytywnie dokończyć naszą dyskusję.

Z lekceważenia rozumu, tego boskiego pierwiastka w człowieku, z pysznej pogardy w stosunku do filozofii płynie to całe zamroczenie, ta ślepota na rzeczy boskie, jaką przejawia tylu teologów katolickich mniejszego pokroju. Jakże daleko odeszli oni w tej aberacji mistycznej od wzniosłej tradycji Ojców Kościoła,z których jeden z największych, św. Justyn filozof i męczennik tak pisał:

„Filozofia jest niewątpliwie dobrem bardzo wielkim i cennym w oczach bożych, bo o n a j e d n a p r o w a d z i i z b l i ż a n a s d o B o g a [3]), a ci, co w filozofii cały swój umysł zagłębili, to ludzie naprawdę święci... Bez filozofii i zdrowego rozumu nikt nie zdobywa mądrości. Każdy przeto człowiek powinien filozofować i to właśnie uważać za najważniejsze i najcenniejsze. Wszystkie zaś inne sprawy idą dopiero na drugim i trzecim miejscu, a stają się pożytecznymi i uwagi naszej godnymi, o ile z niej wypływają; od niej zaś oderwane i związku z nią pozbawione są podłe i niegodne, by się nimi zaprzątać" [4]).

Niechże ks. Kwiatkowski wmyśli się głęboko w te słowa, niech przejmie się duchem wspaniałym Ojców Kościoła, a wtedy przestanie go odstręczać prawda zawarta w filozofii absolutnej.

Jerzy Braun.

[3]) Podkreślenie moje.

[4]) „Dialog z żydem Tryfonem", 2[1], 3[3].

Sztuka a niezrozumialstwo

Marginalia do artykułu A. Madeja

W nr. 133 z wielkim zajęciem przeczytałem artykuł Antoniego Madeja pt. „Sumienność w obliczu źródeł". Poczyniłem na marginesie liczne notatki. Ale marginesy Zetu są niedość szerokie, a moje pismo jest niedość czytelne. Wypadło przepisać na maszynie. Przyjechał p. Braun, zobaczył, przeczytał, wziął, kazał drukować te notatki. Oto one.

*

Pisze A. Madej o „kompletnej nieznajomości problematyki filozoficznej" wśród naszych poetów a i krytyków. Mnie się zdaje, że jest jeszcze coś więcej: polska niechęć przemyślania pojęć do końca. Oto np. J. Brzękowski lekko sobie mówi, że słowa takie jak Absolut „postarzały się i dziś już wiadomo, że należą do bardzo niemodnych rekwizytów". Niemodnych. Hm. Cóż to jest absolut? Jest to racja pierwsza wszystkiego. Jeśli się odrzuci Absolut, wówczas sto tysięcy pojęć trzeba uznać za absoluty, albo w ogóle się wyrzec racji wyjaśniających. Przeciwnicy idei Absolutu właśnie tak postępują. Biorą pierwsze z brzegu pojęcie i uznają je za absolut, tzn. za nie wymagające dalszego uzasadnienia.

Więc chociażby ta sławetna *oryginalność*. Mówi się o niej, jako o niezbędnym postulacie sztuki, ale się jej nie wyjaśnia i bodaj nie analizuje. A szkoda, bo by wyszły na jaw sprawy ciekawe.

Oryginalność można dwojako pojmować: 1-o jako nie-pospolitość, 2-o jako nie-powszechność. Niepospolite jest to, co się nie stało wytartym komunałem; w tym znaczeniu oryginalność jest pożądana, twórcza, niezbędna w dziele sztuki. Taka oryginalność będzie twórczym, wzbogacającym *dodatkiem* jednostki do ogólnego skarbca. — Nie-powszechny znaczy, w sensie filozoficznym, nie dostępny dla każdej jednostki o normalnym rozumie, z jakichś powodów zastrzeżony tylko dla niektórych. Taka oryginalność jest jałowa. Dobudować jeden pokój do gmachu — jest to wkład oryginalny; odgrodzić w istniejącym gmachu pewną przestrzeń, przywłaszczyć ją sobie, nikogo tam nie wpuszczać — jest to także uczynić tę przestrzeń „oryginalną", ale tylko w jałowym znaczeniu „uniepowszechnienia".

Ktoś, biorący słowo z powszechnego języka i nadający mu niezrozumiałe dla innych znaczenie, do-

puszcza się oryginalności szkodliwej, wyjaławiającej. I trzeba być konsekwentnym. Skoro się taką oryginalność uznało za pożądaną, to należy iść do końca. Ideałem zaś byłby tu „język wyłącznie mój“. Bo jeżeli język, zrozumiały tylko dla garstki, ma być czymś wyższym od zrozumiałego powszechnie, to oczywiście jeszcze wyższy będzie język, zrozumiały tylko dla swego twórcy.

Ale wówczas powstaje pytanie: po co się w ogóle mówi? Mówić — to komunikować swoją myśl innym, indywidualny wytwór swej myśli uczynić powszechnie pojętliwym. Innej funkcji nie da się mowie wyznaczyć.

Słowo: wehikuł myśli. I tu znowu można być „oryginalnym“ na dwa sposoby. Stworzyć słowo nowe (neologizm), uzasadnić je rozumowo; *wzbogacić* język powszechny. Albo wziąć słowo z języka powszechnego i nadać mu niepojęte dla innych znaczenie, lub też stworzyć „słowo bezsensowne“, jakiegoś „bykołaka“; *zepsuć* język powszechny.

Słowo jest materialną formą myśli. Słowo bez zrozumiałego sensu, to forma bez treści. Podstawianie formy z a m i a s t treści — to snobizm, udawanie czegoś, czym się nie jest, udawanie posiadania czegoś, czego się nie ma. (Na uniwersytety angielskie przyjmowano dawniej tylko szlachtę i w rubryce „nobilitas“ wypisywano odpowiedni tytuł. Gdy zaczęto przyjmować nieszlachciców, w rubryce tej pisano: sine nobilitate, w skrócie s. nob. = snob).

*

Czy to znaczy, że wszystko, co artysta tworzy, ma być ł a t w e, czyli bez trudu dostępne dla każdego, bez względu na jego przygotowanie lub brak przygotowania? Bynajmniej. Trudność w żadnym razie nie dyskwalifikuje. Tylko znowu trzeba sobie należycie zdać sprawę, na czym trudność polega.

Prawda jest to doskonała zgodność rozumu z sobą samym, wewnętrzna niesprzeczność pojęć. Im szerszy i różnorodniejszy zakres obejmowanej rzeczywistości, tym *trudniej* dojść do owej pożądanej jedności rozumowej. Ale trudność taka jest płodna, prawdo - twórcza. Lecz jeśli trudną jest wielka prawda, trudne może być również i wielkie głupstwo, jako z gruntu fałszywe skojarzenie niesprzymierzonych pojęć. Ileż się trzeba namozolić nad matematyką czy filozofią! Ale za ten trud ma się nagrodę w postaci pewnej prawdy. Ileż by się namozolił, kto by chciał zrozumieć treść słów: „czarna białość“! I za ten bezpłodny trud żadnej by nie miał nagrody.

Więc rozróżniajmy trudność a trudność.

*

Madej cytuje postulat jednego z teoretyków *nowej* poezji: „ Nowe rymy, nowe rytmy, nigdy nie używane i nie powtarzalne“. Postulat nieco trudny do urzeczywistnienia, skoro zważymy, że rytm polega właśnie na powtarzalności. Rytm, tak dalece „nowy“, że by się w nim nie wyczuwało niepowtarzalności, nie byłby rytmem, podobnie jak nie byłby rymem wyraz, pozbawiony współdźwięcznego odpowiednika. Tu dążenie do pysznej oryginalności idzie stanowczo za daleko. By nikomu nic nie zawdzięczać (rzecz zresztą w ogóle niemożliwa!), niszczy się właściwą funkcję danej rzeczy.

*

Że Piękno, Prawda i Dobro są ze sobą ściśle zespolone, stało się to już komunałem. Il n'y a de beau que ce qui est vrai, mówi Wroński. Lecz nie rozumiejmy tego nazbyt symplistycznie. Przypuśćmy, że widzę obraz jakiegoś nieznanego mi kwiatu. Czy na to, bym uznał, że ten kwiat jest piękny, mam szukać po atlasach botanicznych, czy taki kwiat *naprawdę* istnieje w przyrodzie? bo jeśli nie istnieje naprawdę, to nie jest dla mnie piękny?! Nie o to chodzi, jako żywo.

Chodzi znowuż o samą Prawdę jako wewnętrzną niesprzeczność wszystkich naszych pojęć i zasad. Ponadto zdefiniujmy: *dobre* jest to, co jest tak, jak być powinno według naszego rozumu. Otóż Piękno, jakkolwiek posiada własne, autonomiczne prawa, odmienne od praw Dobra i Prawdy, nie może pozostawać z tamtymi w sprzeczności, bo to by rozbijało zasadniczą jedność rozumu. Dla przykładu przypuśćmy, żeśmy uznali wyuzdanie czy zboczenia erotyczne za zło, za coś, co być nie powinno. Teraz weźmy obraz czy poemat pornograficzny, przedstawiający nam w ponętnym świetle te same sprawy, któreśmy przed chwilą potępili. Jakże uzgodnić te rozbieżne ujęcia rzeczy? Nie sposób. Powstaje stąd wewnętrzna sprzeczność w rozumie, nie - prawda. Albo znowu wyobraźmy sobie, że w jakiejś powieści występują sami ludzie bez najmniejszej skazy, ludzie - aniołowie. Byłoby to *dobre,* gdyby było *prawdziwe.* Ale wiemy, że tak nie jest. Znów powstaje wewnętrzna sprzeczność. — Oto na czym polega właściwe pokrewieństwo trójcy Piękna, Prawdy i Dobra.

Czemuż w takim razie „sztuka“ dydaktyczna, mająca przecież na celu dobro i prawdę, a sama chcąca być pięknem, jest czymś tak fałszywym i przykrym? Właśnie dlatego, że nie jest sztuką; że jej rzekome piękno, zamiast być autonomicznym, jest właśnie heteronomiczne, gdyż narzuca sobie prawa z innych zupełnie dziedzin. Nie chodzi wcale o to, by piechur, pociąg i wielbłąd szli — tłocząc się — tą samą drogą, chodzi o to, by szli do jednego ostatecznego celu. Celem wszystkich naszych dążeń winna być doskonała jedność w rozumie.

*

„Wyrażać wyrażalne!“ Posito, non admisso — przypuśćmy to. Tylko wówczas: po co Sztuka? Czyż nie można tego łatwiej i celowiej dopiąć za pomocą, dajmy na to, podręczników szkolnych?

Żywiołem Boga i Wszechświata jest Nieskończoność. Nieskończoność otacza nas zewsząd, jesteśmy w niej przerażająco pogrążeni. Nieskończoność jest nieuchwytna i bezokreślna. Uchwytne i określne stają się dopiero przecięcia różnych linii nieskończonych, węzły na nich. Ilość jako taka — to żywioł płynny, nieujęty. Liczby całe — to są węzły na niej, jednostki, indywidua, konkrety. Wszelki konkret polega właśnie na przecięciu się nieskończonej ilości nieskończonych linij. Gdyby nie konkret, nie można by nic pojąć; ale bez abstraktu nie można pojąć powstania samegoż konkretu.

Naczelną funkcją Sztuki: przypominać, że od konkretu wiodą linie w Nieskończoność. Sztuka, która by wcale nie budziła uczucia metafizycznego, przestałaby być sobą, straciłaby wszelką wzniosłość, a nawet rację bytu. Ktoś namalował portret pana Kowalskiego. Jeśli jego oglądanie da mi tylko tyle, iż stwierdzę, że pan Kowalski jest przystojnym mężczyzną, portret ten nie należy do sztuki.

Metafora rzekomo poetycka, która by za pomocą jednego konkretu po prostu wyrażała inny, *rów-*

norzędny konkret — byłaby najdosłowniej bezcelowa; a niesłusznie zaprzątnąwszy naszą uwagę, byłaby szantażem. Nieco skarykaturujemy: „Orzeł wzbił się do góry jak sokół". Cóż bardziej płaskiego?

*

„Niebo zbudowane z ostryg"... Ostatecznie można to wyinterpretować, czemu nie. Nie ma takich dwóch rzeczowników, których by się nie dało zmieścić w jednym zdaniu. Przy dobrych chęciach, można wytłumaczyć k a ż d e skojarzenie słów. Ot, powiedzmy coś możliwie bezsensownego, a potem tłumaczmy. Więc na przykład:

„Rzęsy Litwy odcięły serce".

Litwa to siostra Polski. Polska zachowała dla niej swe serce, ofiarowuje je jej. Ale Litwa nie chce go przyjąć, nie chce go nawet widzieć. Zamyka oczy. Rzęsy opadły na policzek, odcięły serce Polski.

Tak jest, można. Tylko znowuż: po co?

Na marginesie „Listów" F. Warraina

W n-rze 134 Zetu daliśmy w przekładzie wyjątki z listów Francisa Warrain, m. in. ustęp o przypadkach gramatycznych. W związku z tym p. Konstanty Régamey nadsyła nam nast. wyjaśnienia:

W sanskrycie istnieją t r z y przypadki, odpowiadające łacińskiemu ablativusowi, *locativus* (nasz miejscownik), *instrumentalis* (nasz narzędnik) i właściwy *ablativus*, t.zn. pochodnik, na pytanie od czego, skąd, dlaczego — u nas nie istniejący. Wydaje mi się, że błędne jest zdanie, iż mała ilość przypadków świadczy o niewystarczającym rozwoju języka. Przeciwnie: w jęz. europejskich i w większości innych ilość przypadków maleje wraz z rozwojem. Najwięcej, bo aż 8, mają języki najbardziej archaiczne: sanskryt i irański.

Czesław Jastrzębiec - Kozłowski.

Polska a kwestia ukraińska

Zwrot w sytuacji

Perspektywy zagadnienia ukraińskiego uległy raptownej zmianie. W r. 1938 parcie Niemiec na południowy wschód wywołało złudzenie, że pochód Trzeciej Rzeszy na Ukrainę, tę „niemiecką ziemię obiecaną" z „Mein Kampf" Hitlera, jest kwestią najbliższych miesięcy. Stworzenie „Ukrainy Karpackiej" spotęgowało te nadzieje wśród polityków i mas ukraińskich. Naród ukraiński uwierzył nazbyt pochopnie i bezkrytycznie, że już-już świta godzina jego wolności. Dając się ponieść emocjom patriotycznym, utracił on na pewien czas umiejętność zdrowej oceny sytuacji. Ukraińcy „galicyjscy" sądzili nawet, że uda im się wywołać zbrojny konflikt polsko - niemiecki i wyzyskać „Ukrainę Karpacką", jako odskocznię do stworzenia jakiegoś państewka ukraińskiego nad Dniestrem. Nie mając piędzi ziemi własnej naród ukraiński nie wahał się rozpętać od razu namiętnych zatargów ze wszystkimi narodami sąsiednimi, jakby już był dziedzicem tej „Wielkiej Ukrainy", do której droga jeszcze daleka i żmudna.

U wstępu r. 1939 złudne nadzieje prysły. Niemcy odwróciły się nagle od aktywnej polityki wschodniej, ruszając pełną parą na zachód. Spośród szeregu zadań, jakie nakreślił sobie kanclerz Hitler w swym wielkim programie imperialnym, wybrał on problem kolonii. Złożyły się na to trzy zasadnicze przyczyny: a) *decyzja Mussoliniego,* który podjął rozgrywkę z Francją i zażądał rewanżu od sojusznika, b) *bezwzględny opór Polski,* która słusznie poczuła się zagrożoną prowokacyjną polityką Niemiec w sprawie ukraińskiej, c) *słabość i chwiejność mocarstw zachodnich,* które w dalszym ciągu nie są gotowe do rozprawy wojennej, ani militarnie ani psychologicznie i chcą jej uniknąć za wszelką cenę. Ten wybór drogi jest zrozumiały i z punktu widzenia Hitlera: zawsze ma się skłonność powtórzyć raczej ten manewr, który się już kilka razy udał, niż ryzykować nowy, puszczać się na eksperyment. Doświadczenie stwierdziło ustępliwość zachodu; lepiej więc znów próbować tam, niż psuć stosunki z nieustępliwą Polską.

Jak się rozwinie uderzenie mocarstw osi w kierunku zachodnim? Widzę tu następujące możliwości: albo Francja da Włochom Tunis, a Anglia zwróci Niemcom kolonie — albo oś Paryż — Londyn zdecyduje się na bezowocną rozprawę z narodami „nienasyconymi" — albo (rozwiązanie połowiczne) *Francja stawi opór a Londyn wycofa się z gry,* zajmując pozycję wyczekującą. W pierwszym wypadku sprawa skończy się już w r. 1939 i Niemcy będą mogły powrócić do swej polityki wschodniej; w drugim wypadku zacznie się burza światowa, która potrwa niewiadomo jak długo, jeśli zaś Rosja nie weźmie w niej udziału, to kwestia ukraińska w ogóle zniknie na szereg lat z widowni. W trzecim wypadku — który wielu uważać będzie za absurdalny, a który mnie się wydaje najbardziej prawdopodobny — Niemcy zaangażują się wprawdzie tylko na pół, ale będą miały też związane ręce, przynajmniej do jakiegoś 1941 r.

Rozgrywka Francji izolowanej z Włochami może być tylko czymś w rodzaju „wojny bez wypowiedzenia" i to nie prowadzonej wprost, lecz pośredniej (może przy pomocy Hiszpanów gen. Franco). Inaczej bowiem Anglia nie mogłaby pozostać na uboczu. A w takiej konfiguracji wydarzeń Niemcy powstrzymają się zapewne od uderzenia na Francję, ale będą w ustawicznym pogotowiu, wykluczającym awanturowanie się nad Morzem Czarnym.

Tak czy inaczej, *niemiecki pochód na wschód został odroczony* — wszystko jedno: na bliższy czy dalszy termin — co nasuwa przypuszczenie, że i niefortunna gra z „Ukrainą Karpacką" będzie zlikwidowana. Trudno przypuścić, by polski minister spraw zagranicznych na darmo jeździł do Berchtesgaden i aby min. Ribbentropp przybył do Warszawy z próżnymi rękami. Niemcy zagalopowali się tak daleko wobec Polski, a zapewnienie sobie jej neutralności jest dla nich teraz ważne, że tylko skrajne niedołęstwo mogłoby tego nie wyzyskać.

Było by może najlepiej, gdyby Ruś Karpacką otrzymała teraz Polska, jako przedstawicielka interesów ukraińskich, raz dlatego, że Węgrzy się do tego nie kwapią, a po wtóre dlatego, że wzmacnianie Węgier jest dziś powiększaniem niemieckiej Mitteleuropy. *Sprawa ta jednak musi być w jakikolwiek sposób załatwiona, był to bowiem klin wbity między narody polski i ukraiński, ze szkodą dla nich obu.*

O generalną linię

Po upadku złudzeń nastąpiło wśród Ukraińców otrzeźwienie. Zrozumieją oni może teraz, że *zagadnienie polsko-ukraińskie jest sprawą życiową tylko dla nas i dla nich,* podczas gdy dla obcych jest to tylko element suchych obliczeń, niezdrowej spekulacji politycznej i brutalnej eksploatacji. Palec Opatrzności ukazał nam to w jaskrawym świetle, jakby chciał dać nam drogowskaz na przyszłość, abyśmy — Polacy i Ukraińcy — uniknęli strasznych nieszczęść i kataklizmów. Mamy teraz nieco wolnego oddechu do pracy nad rozwiązaniem naszych wspólnych problemów. Nie zmarnujmyż tej okazji.

Aksjomat w stosunkach polsko - ukraińskich to USTALENIE GENERALNEJ LINII. Bezprogramowość, bierne mijanie upływającego czasu, balansowanie od „normalizacji" do „pacyfikacji" musi się skończyć. Ale i Ukraińcy zerwać winni z emocjonalnym przerzucaniem się z jednej krańcowości w drugą. Nie można już nadal traktować zagadnienia ukraińskiego z perspektywy starostów prowincjonalnych z jednej, a polityków kawiarnianych z drugiej strony. *Problemat jest poważny, rozległy i skomplikowany. Trzeba go postawić na szerokiej platformie historycznej i przygotować się do konstruktywnego rozwiązania.*

Dotąd — powiedzmy to sobie otwarcie — Ukraina była jakimś „place d'armes", ziemią bezwolną, deptaną kopytami „kon - armij", rozoraną przemarszami luźnych wydarzeń, które nadchodziły i przemijały, jak fale w heraklitowskim „panta rei". Przeszłość narodu ukraińskiego nie była właściwie historią, t.j. logicznym związkiem momentów konstruktywnych, lecz łańcuchem konwulsyj, po których znów otwierała się próżnia w tradycji narodowej. To powinno ulec zmianie. Step musi ożyć. *Naród ukraiński powinien raz wreszcie stać się podmiotem, a nie obiektem cudzych interwencyj, jeżeli chce myśleć na serio o swej suwerenności państwowej. Inaczej bowiem sprawa jego będzie raz jeszcze przegrana, mimo najpomyślniejszych koniunktur, jak to się zdarzyło tyle już razy w jego dziejach.*

Ale do tej odmiany trzeba przede wszystkim myśli twórczej i bardzo wytężonej pracy. Trzeba realnie i wiernie określić obecny stan rzeczy i perspektywy na przyszłość. Trzeba zrezygnować z wiary w cuda a przystąpić do rozumowego wyznaczenia elementów zagadnienia. Nie zakłamywać się w pięknych snach i w intrygach politycznych. *Szukać prawdy. Bo tylko prawda może być fundamentem zwycięstwa.*

Między Niemcami a Moskwą

Kilka lat temu D. Doncow, wybitny publicysta ukraiński, zwymyślał mnie na łamach „Wistnyka" za mój „abstrakcyjno - idealistyczny światopogląd", za którym — zdaniem jego — ukrywa się zwykły polski imperializm. Nie odpowiedziałem na to, bo uznałem dyskusje tego rodzaju za bezpłodne. Nie mam zamiaru przekonywać o mej uczciwości kogoś kto w nią nie wierzy. W takich wypadkach odwracam się i idę dalej swą drogą. Teraz jednak przerywam milczenie i odpowiadam krótko: 1) *Imperializm nie jest złem, jeśli opiera się o świadomość posłannictwa.* Tolerujecie u Niemców najbrutalniejszy, egoistyczny imperializm, dlaczego nie przyzwalacie nań Polsce, która umiała walczyć ofiarnie nie o własne jedynie cele, lecz i o wolność innych narodów, o prymat kultury ducha, o tryumf chrześcijaństwa. 2) *Idealizm celów nie jest jałową abstrakcją lecz warunkiem zwycięstwa.* Historia to pochód i walka idej. Historia jest zawsze sojusznikiem tych, co działają w imię wyższych prawd, co są ramieniem idei.

Realiści polityczni mówią, że narody chcą tylko po prostu żyć i idee ich są niczym innym, jak walką o byt. Mnie się jednak zdaje, że więcej racji mają ci, co twierdzą, że narody istnieją p o c o ś, że mają zadania wyznaczone przez Boga, mają swe posłannictwa. Z tej perspektywy, *narody polski i ukraiński, wtłoczone między dwa kolosy: Niemcy i Rosję, łatwo odnaleźć mogą pomiędzy sobą wspólność idei.*

Wskazywałem na to już w innej, wcześniejszej polemice z Doncowem, zwolennikiem orientacji zachodniej w kulturze i polityce ukraińskiej, w art. pt. „Europa nad Wisłą", udowadniając mu, że Polska wcale nie zdradziła zachodu ani swego tradycyjnego mesjanizmu historycznego, lecz przeciwnie, ona to właśnie stanie się wkrótce „schroniskiem opatrznościowym" Europy.

Doncow wierzył wówczas niezachwianie, że to Niemcy reprezentują Europę, jako tę wartość najwyższą, pod której sztandarem walczyć chce Ukraina. Nic to dziwnego. *Ukraińcy, podobnie jak Polacy przed wojną, rozdzierani są przez orientacje: germanofilską i rusofilską, przyczym od czasu do czasu odbywa się — pod wpływem wypadków — proces mechanicznego przewalania się większości z jednej orientacji w drugą.* I teraz ponoć po rozczarowaniach prohitlerowskich, puka do wrót moskalofilstwo. Polacy już się z tego w dużej mierze wyleczyli, dzięki własnej państwowości. Naród ukraiński wciąż jeszcze znajduje się na tej huśtawce, powodującej fatalne zaburzenia w zmyśle równowagi.

Cóż jednak niosą Ukrainie Niemcy? Cele pochodu niemieckiego na wschód są jasne: a) surowce, b) możliwości kolonizacyjne i eksploatacyjne, c) rozgrywka z Rosją. Charakter tej ekspansji jest jasny. Nie wchodzą tu w grę żadne sentymenty dla narodu ukraińskiego, żadne poczucie wspólnoty historycznej z nim (trwające u Polaków), bo tej wspólnoty nie było. *Niemcy walczą o „Lebensraum", które chcą zdobyć na terytoriach narodów, uważanych przez nich za niższe rasowo i cywilizacyjnie.* Ukrainiec to dla Niemców „Untermensch", już nie tylko z racji ich megalomanii i buty wrodzonej, lecz i teoretycznie, podług doktryny rasistowskiej Hitlera. W dodatku cała krucjata wschodnia Niemiec, na którą liczą Ukraińcy, jest w większym stopniu awanturą, niż realną koncepcją polityczną, choćby ze względu na brak wspólnej granicy z Rosją i odległość baz wypadowych. Toteż *Niemcy mogą z niej zrezygnować w każdej chwili i przerzucić się nagle do polityki porozumienia z Rosją, mającej w narodzie i armii niemieckiej dawne i głęboko zakorzenione tradycje.*

Czym jest dla Ukrainy Moskwa, nie potrzebuję tłumaczyć: a) *geopolitycznie* Rosja osuwa się całym ciężarem na Morze Czarne i zniszczenie każdego wysiłku niepodległościowego Ukraińców jest dla niej kwestią życia i śmierci (wyjście na Morze Śródziemne, zagłębie Donieckie, centra przemysłowe, droga na Kaukaz do nafty); b) *biologicznie* zagraża naród rosyjski narodowi ukraińskiemu druzgocącą przewagą liczebną i wyższością swego geniuszu państwo-

twórczego; c) *kulturalnie* działa nań Rosja rozkładowo i niwelacyjnie, przez demoniczną atrakcyjność dzieł swego ducha, co ułatwiają jej właściwości niwelacyjne stepu eurazjatyckiego, który roztapia i sprowadza do jedności wszystkie bytujące na nim żywioły etniczne.

Inaczej układają się stosunki naturalne narodu ukraińskiego z Polską. Wspólne pochodzenie słowiańskie wyklucza z góry jakiś kompleks rasowej niższości. Liczebność mniej więcej równa (nawet większa u Ukraińców) usuwa obawy przytłoczenia biologicznego, aktualne w stosunku do Rosji i least non least w stosunku do Niemców. Brak elementu zaborczości i ekspansywności imperialistycznej w psychice polskiej likwiduje te same obawy polityczne, znowuż w przeciwieństwie do Niemiec krzyżackich i Moskwy, których cała kariera historyczna wyrosła na podbojach. Współżycie tysiącletnie wytworzyło wspólne potrzeby kulturalne i dążenia, czego nie ma w stosunku do Niemców; zaś łączność geopolityczna jest tu całkiem innego rodzaju niż z Rosją i nie zagraża pochłonięciem Ukrainy przez Polskę, gdyż narody te stykają się tylko i krzyżują na zachodnim, mieszanym ludnościowo pograniczu (wschodnia część Ukrainy wysuwa się tak daleko ku peryferiom polskich zainteresowań, że nie ma mowy, aby Polska mogła sięgnąć po nią). *Narody polski i ukraiński są jakby ramionami Europy Środkowej: jedno wparło się łokciem w Bałtyk, drugie objęło Morze Czarne. Widoczna więc równorzędność pozycyj geopolitycznych.* Przytem Polacy nie umieją wynaradawiać, przeciwnie sami się łatwo ruszczą. Nie narzucają swego języka, przeciwnie posługiwali się chętnie językiem ruskim, jako równouprawnionym, na co wskazują dokumenty historyczne. Mają wreszcie charakter raczej miękki i szanują aspiracje wolnościowe innych narodów („za wolność naszą i waszą“). Nie posiada też Polska sił i kapitałów potrzebnych, by skolonizować i eksploatować gospodarczo Ukrainę tak, jak planują Niemcy.

Federacja czy niepodległość?

Istnieją więc wszelkie dane do porozumienia polsko - ukraińskiego, w dobie, gdy dwie olbrzymie ekspansje prą od zachodu i wschodu na narody Europy Środkowej. Powstaje więc tylko pytanie: jak ma wyglądać ta współpraca?

Aby dać odpowiedź na to pytanie, trzeba wprzód zorientować się w realnych możliwościach rozwiązania problemu państwowości ukraińskiej. Mamy tu dwie koncepcje do wyboru: 1) *federacyjną*, 2) *niepodległościową*. Ukraińcy dzielą się też — podług tych dwu orientacyj — na federalistów i niepodległościowców.

Federacja może też być pojęta dwojako: jako związek państwowy z Rosją lub z Polską. Pierwszy kierunek federacyjny reprezentowany jest licznie wśród Ukraińców, jako tzw. idea „Federacji Trzech Rusi“ (znaleźć w nim można elementy tak różnorodne, jak b. hetman Skoropadski, mason Panejko związany z francuskim W. Wschodem, ks. Kostelnik itd.). Odrzucamy oczywiście a priori tę koncepcję, gdyż założyliśmy, że Rosja jest potęgą, zagrażającą podstawom bytu narodu ukraińskiego, i wszelkie związki z nią prowadzić go muszą do niwelacji, jak to widzimy choćby na przykładzie obecnej „Federacji Trzech Rusi“ w ZSSR.

Zagadnienie unii z Polską, mniej popularne dziś wśród Ukraińców, lękających się jakoby wyższości kultury polskiej, ma szeroką podstawę w postaci odwiecznych tradycji historycznych i widocznej wspólnoty interesów życiowych obu narodów. *Pod względem prawnym zagadnienie to jest nawet wciąż aktualne, gdyż związek nie został wypowiedziany przez legalne przedstawicielstwo narodu ukraińskiego.* (Chmielnicki poddał nieprawnie Ukrainę Moskwie, bo był rewolucjonistą, samozwańcem, zaś hetman Wyhowski, legalny wódz Ukrainy kozackiej przekreślił Perejasław podpisaniem ugody hadziackiej). *Jednakże unia była dobrowolna i Polska nie ma zamiaru obstawać przy niej, skoro Ukraińcy od niej się uchylają, biorąc na siebie odpowiedzialność za to przed Bogiem.* Zresztą odnowienie unii mogłoby być aktualne dopiero z przyszłą narodową, wyzwoloną od wpływów masońskich, i d e o k r a t y c z n ą Polską. Naród polski bowiem może powziąć jedynie sam w pełni suwerenności duchowej tę doniosłą decyzję.

Pozostaje tedy koncepcja niepodległościowa. Gdy podchodzimy do niej z trzeźwym rachunkiem rozumu, odsłania nam ona od razu swą piętę Achillesową i szereg innych trudności realizacyjnych. Ta pięta Achillesowa to organiczna „antynomia“, *rozdwojenie wewnętrzne narodu ukraińskiego na żywioł zachodni i wschodni*, „Haliczan“ i „Naddnieprzańców“, pogłębione przez to, że wschód żył długo w symbiozie z Rosją a ziemia Halicka nigdy nie zetknęła się bezpośrednio z narodem i państwem rosyjskim, osiągające zaś punkt kulminacyjny w rozszczepieniu religijnym na cerkiew zachodnią (unicką) i wschodnią (dyzunicką). Wiadomo, że w latach 1918 — 1920 „Haliczanie“ i „Naddnieprzańcy“ nie tylko nie mogli znaleźć między sobą wspólnego języka, lecz nawet doszło do zbrojnych starć między nimi.

Inne trudności to:

a) nikłe tradycje historyczne i małe zdolności państwotwórcze narodu ukraińskiego;

b) prymitywny stan języka i cienkość warstwy intelektualnej, bez której nie da się zbudować państwa (rząd, administracja, szkolnictwo itd.);

c) potęga ustrojów państwowych, z którymi Ukraińcy mają do czynienia, w swej walce o niezależność.

Pierwsza trudność jest mniej istotna, ostatecz-

nie bowiem trzeba kiedyś zacząć tworzyć swe tradycje historyczne i może właśnie przyszedł ten czas dla Ukraińców: Trudność druga jest organiczna i największa, ponieważ *stopień rozwoju języka jest absolutnym kryterium dojrzałości narodu do posiadania własnego państwa;* zaś brak dostatecznej ilości własnego, rdzennego elementu państwotwórczego doprowadzić może do tego, co przewiduje Roman Dmowski w swej kapitalnej książce pt. „Świat powojenny i Polska“:

Nie ma siły ludzkiej, zdolnej przeszkodzić temu, ażeby oderwana od Rosji i przekształcona na niezawisłe państwo Ukraina stała się zbiegowiskiem aferzystów całego świata, którym dziś bardzo ciasno jest we własnych krajach, kapitalistów i poszukiwaczy kapitału, organizatorów przemysłu, techników i kupców, spekulantów i intrygantów, rzezimieszków i organizatorów wszelkiego gatunku prostytucji... Te wszystkie żywioły przy udziale sprytniejszych, bardziej biegłych w interesach Ukraińców, wytworzyłyby przewodnią warstwę, elitę kraju. Byłaby to wszakże szczególna elita, bo chyba żaden kraj nie mógłby się poszczycić tak bogatą kolekcją międzynarodowej kanalii“.

Jak dalece prorocze to słowa, dowodzi już dziś pasorzytowanie międzynarodowej szajki masońskiej na problemie ukraińskim, jak również występy samozwańcze w imieniu Ukrainy takich oszustów, jak np. rzekomy „ks. Razumowskij“.

Trudność trzecia nie jest już tak „absolutna“ i organiczna, potęga państw jest bowiem w historii elementem zmiennym. Ale i tu jasne jest, że 1) *Polska nie pozwoli za żadną cenę na takie rozwiązanie kwestii ukraińskiej, które obrócić się może na szkodę dla niej,* 2) *oderwanie Ukrainy od Rosji i utrzymanie się na jej ziemiach niepodległego państwa nie jest możliwe bez krwawej rozprawy zbrojnej na śmierć i życie, bez przelewu krwi milionów ludzi.*

Sprawa ukraińska w Rosji i w Polsce

Ukraińcy żyją dziś zwartymi masami w czterech państwach: Rosji, Polsce, Rumunii i Czechosłowacji. Te dwa ostatnie państwa pomijam tutaj, gdyż rozwiązanie kwestii ukraińskiej w Rosji i w Polsce doprowadziłoby prawie automatycznie do zlikwidowania tamtych problemów.

W Rosji żyje około 85% wielkiego, 35-milionowego narodu ukraińskiego. W przeciwieństwie do Małopolski Wschodniej i Besarabii, ziem o ludności mieszanej, dwu - narodowej, Ukraina naddnieprzańska jest obszarem narodowo - jednolitym. Ośrodkiem biologiczno - etnicznym narodu ukraińskiego, a więc i trzonem organicznym jego przyszłej państwowości, jest dziś niewątpliwie Zadnieprze (ziemie leżące między Kijowem a Połtawą, ojczyzna Tarasa Szewczenki).

Ukraina naddnieprzańska, z dawną stolicą historyczną Kijowem i dzisiejszą stolicą przemysłową Charkowem, z legendą kozackiej Siczy i Zaporoża, z wybrzeżami Morza Czarnego i wyjściem na Morze Śródziemne, z półmilionowym portem Odessą, z bezkresem płododajnych czarnoziemów, z węglem i rudami żelaznymi w Zagłębiu Donieckim, oto właściwa „przestrzeń życiowa“ narodu ukraińskiego.

W Polsce żyje około 12% narodu ukraińskiego, na terytorium stanowiącym najwyżej 8 — 10% całego jego obszaru zasiedlenia. Poza Wołyniem z częścią Polesia, gdzie ludność ukraińska ma przytłaczającą przewagę liczebną nad polską, reszta tego terytorium jest kombinatem dwunarodowym, o kulturalnej i gospodarczej przewadze żywiołu polskiego. Położenie tych ziem na peryferjach zachodnich ukraińskiej „przestrzeni życiowej“, oddalenie od centrów biologicznych i przemysłowych, decyduje o tym, że *sprawa tych ziem ma dla przyszłej państwowości ukraińskiej znaczenie drugorzędne.*

Powstaje teraz z kolei zagadnienie, jak się przedstawia siła realna „ukraińskości“, w tych dwu kompleksach: na Rusi Halickiej i na Ukrainie naddnieprzańskiej. W ZSSR siła ta, bardzo zresztą problematyczna, jest systematycznie tępiona. Istnieje tam wprawdzie formalnie „niepodległa“ Ukraina, jako jedna z republik związkowych, jednak wszelkie przejawy nacjonalizmu ukraińskiego są tam bezlitośnie duszone (exemplum: sprawa Skrypnika). *Warstewka inteligencji jest tam niezmiernie nikła, ukraiński ruch kulturalny zaledwie w zaczątkach.* Ponad to znaczny odłam tej inteligencji przyznaje się do narodowości rosyjskiej, a równocześnie odbywa się specyficzny proces narastania marksistowskiej, „czerwonej“, zinternacjonalizowanej inteligencji urzędniczej. Pozostała część ukraińskiej warstwy intelektualnej w ZSSR żyje w warunkach tak trudnyh, że o zorganizowaniu irredenty narodowej na większą skalę nie może ona dziś marzyć.

Rozstrzygającą więc dla sprawy państwowości ukraińskiej na Naddnieprzu będzie postawa warstwy chłopskiej, stanowiącej chyba z 95% ogółu ludności pochodzenia ukraińskiego. Otóż *stan uświadomienia narodowego tej ludności jest bardzo niski.* Dla problemu własnej państwowości ma ona nie wiele zrozumienia, jak dowiodło jej zachowanie się w latach przełomowych 1917—20 (od tego czasu, jak sądzę, nie wiele się zmieniło). *Należy więc ją brać w rachubę na razie tylko, jako zrąb biologiczny narodu, niestety potężnie nadszarpnięty rozmyślnie wywołanymi głodami, masowym przesiedlaniem w głąb imperium, kolonizacją obcoplemienną, (z Rosji północnej i Syberii), idącą również w miliony — przede wszystkim zaś niszczycielskim procesem kolektywizacji.*

Zupełnie inne szanse rozwoju miał naród ukraiński pod rządami polskimi. Poza przejściowymi okresami „pacyfikacji“ Ukraińcy mieli w Polsce możność względnego rozwoju kulturalnego a dość szerokie możliwości organizowania się gospodarczego. Niekiedy ludność polska w Małopolsce Wschodniej musiała nawet skarżyć się, że władze nasze traktują Ukraińców, w porównaniu z nią, jak żywioł uprzywilejowany. Mogli sobie też nasi Ukraińcy pozwolić na walkę terorystyczną z rządem i narodem polskim, o czym w ZSSR nie mogło by być mowy, wobec potęgi i bezwzględności teroru urzędowego.

W tych warunkach siła „ukraińskości“ w Polsce mogła się rozwinąć na tyle, że dziś jest tu ona proporcjonalnie nieporównanie większa, niż w Rosji sowieckiej. Wprawdzie element chłopski nie posiadł i tu jeszcze pełnej świadomości narodowej, zwłaszcza na Podkarpaciu i na Polesiu, ale zato *narosła dość liczna warstwa inteligencji* (nauczycielstwo, kler, wolne zawody, drobny handel i rzemiosło), *która wydała z siebie przywódców politycznych i organizatorów samodzielnego życia gospodarczego.* Ruch spółdzielczy z jednej strony a prasa ukraińska — dość liczna i żywotna — z drugiej, oto najważniejszy dorobek narodowy Ukraińców w Małopolsce Wschodniej.

Jakież wnioski z tego przeglądu sił i sytuacji? Pierwszy ten, że *w Rosji trzeba by czekać aż dojrzeje warstwa kierownicza inteligencji*, zdolna podjąć walkę o państwo na drodze ewolucyjnej czy rewolucyjnej. Drugi: że *w Polsce chcieć budować państwo, na skrawku ziemi, w dodatku narodowo mieszanej, leżącej na peryferiach właściwej Ukrainy — to absurd.* A więc — zdawało by się sprawa niepodległej Ukrainy jest beznadziejna. A jednak Ukraińcy wołają, że nie mogą czekać na sposobniejszą epokę historyczną. I słusznie: bo stopniowa zagłada ukraińskości w ZSSR budzi grozę i alarmuje do czynów.

Wyjście może być tylko jedno:

Połączyć z sobą te dwa elementy: zrąb biologiczny chłopskiej Ukrainy naddnieprzańskiej oraz inteligencję ukraińską z ziem południowo - wschodnich Rzeczypospolitej.

Innymi słowy:

Zużytkować siły, energię i doświadczenie tej warstwy intelektualnej do budowy państwowości nad Dnieprem.

Poważną trudność stanowi tutaj owa „pięta Achillesowa" w postaci rozdwojenia i antagonizmu między Haliczanami i Naddnieprzańcami. Nie jest to jednak trudność nie do przezwyciężenia, skoro nawet w Chinach udało się zlikwidować konflikty między Nankinem a kantończykami. Korzyści zaś obrania takiej „generalnej linii" są aż nadto widoczne. Przede wszystkim Polska, doszedłszy do porozumienia z narodem ukraińskim na takiej platformie, rozwiązuje przynajmniej w grubszym zarysie — kwestię ukraińską, jako zagadnienie wewnętrzne państwa polskiego, a wówczas może ona już opracować konkretny plan swej polityki wschodniej. Po wtóre, zmniejsza się obawa, że państwo ukraińskie nad Dnieprem stanie się — wskutek napływu obcych obieżysasów — „międzynarodowym domem publicznym" (wyrażenie Dmowskiego).

Jedyne rozwiązanie

Jednakże ta koncepcja wyjściowa to dopiero 5% realizacji. Do rozwiązania tak sformułowanej kwestii ukraińskiej trzeba się przygotować sumiennie i wszechstronnie. Wymaga to długotrwałej, wspólnej pracy Polaków i Ukraińców nad elementami zagadnienia. Koniunktura bowiem nie zda się na nic, o ile nie wyzyska jej rozum kierowniczy. *Potrzeba całego sztabu mózgów i uzgodnienia „generalnej linii" na długą metę. Do tego zaś nieodzowne jest usunięcie atmosfery nieufności i niestałości stosunków między narodem polskim a ukraińskim.*

Warunki takiego ustalenia to:

a) *gwarancja ładu i praworządności na ziemiach południowo - wschodnich Rzeczypospolitej;*

b) *porzucenie awanturniczych rachub na interwencję obcą, a w szczególności na wywołanie wojny polsko - niemieckiej;*

c) *uznanie nienaruszalności terytorialnej państwa polskiego, w szczególności jego obecnych granic wschodnich.*

Warunek pierwszy nie budzi chyba wątpliwości. Trudno pracować z determinacją i wiarą w trwałość sprawy, w atmosferze zaognienia i anarchii. Warunek drugi jest również jasny po tym, co powiedziałem wyżej o stosunku Niemiec do kwestii ukraińskiej i o wspólnocie ideałów i interesów Polski i Ukrainy, pomiędzy Niemcami a Rosją. Pozostaje do omówienia punkt trzeci.

Kwestia naszych ziem południowo - wschodnich ma dwa aspekty: historyczny i etnograficzny. Historycznie Polacy byli tu już w w. IX-ym i X-ym. Późniejsze walki — w dobie Rusi Halickiej — będące fragmentem posuwania się żywiołu ruskiego na zachód, skończyły się zwycięstwem czynnika polskiego, co dowodzi jego istotnej przewagi i siły twórczej. Zresztą *w epoce Rusi Kijowskiej i Rusi Halickiej nie było jeszcze narodu ukraińskiego.* Były plemiona polańsko-rusko-rosyjskie, organizowane przez nordyckich Waregów. Później dopiero wydziela się z tego podłoża Moskwa na północnym wschodzie i Ruś na południowym zachodzie. *Naród ukraiński zrodził się na polskim Naddnieprzu i posuwał się dalej pod opieką i egidą Rzeczypospolitej.* Stosunek Ukrainy do Polski jest więc podobny, jak Stanów Amerykańskich do Anglii.

Od w. XIV Ruś Halicka stale już była pod rządami Polski. *Polska skolonizowała, uprawiła i obroniła te ziemie, włożyła w nie olbrzymi wysiłek krwi i pracy. I to jest jej historyczne do nich prawo.*

Aspekt ludnościowy zagadnienia ziem południowo - wschodnich również przesądza je na korzyść Polski. Przede wszystkim nie jest ono jednolite; rozpada się aż na trzy odrębne kompleksy. Żyją tu bowiem obok siebie następujące elementy:

a) *Polacy zruszczeni,*

b) *Rusini polscy,*

c) *właściwi Ukraińcy.*

Ruszczenie się szlachty i kmieci polskich, na kresach wschodnich było zjawiskiem typowym, którego nikt nie może podać w wątpliwość. Obecnie odbywa się dość żywiołowy proces polonizacji odwrotnej tych żywiołów. Ilość ich oblicza się — na całych kresach — na 1 milion, z czego około 500,000 w Małopolsce wschodniej. Przyczynia się to do szybkiego zrównoważenia sił obu narodów na ziemiach południowo - wschodnich.

Rusinów przyznających się do Rzeczypospolitej jest w Polsce ilość znaczna. Dotąd znajdowali się oni jakby w próżni: Ukraińcy zwalczali ich gwałtownie, a rząd polski zaniedbywał. Ten stan rzeczy musi się skończyć. *Rząd musi wziąć w opiekę Rusinów — lojalnych obywateli państwa, związanych uczuciami braterstwa z narodem polskim.*

Trzeci odłam, przyznający się do ukraińskości, również nie jest jednolicie zorientowany: są wśród nich także zwolennicy unii z Polską. Jest to już jednak problem z dziedziny polityki a nie etnografii.

(Istnieje też pewna ilość Rusinów, uważających się za Rosjan, t.zw. „starorusini", pomijam ich jednak, jako stojących poza nawiasem zagadnienia polsko-ukraińskiego).

Poza tym niezmierną wagę posiada dla oceny aspektu ludnościowego problemu ziem południowo-wschodnich Rzeczypospolitej fakt biosocjologiczny przemieszczania się, *migracji historycznej narodów Europy w kierunku wschodnim.* Polacy cofają się przed naporem niemieckim, ale posuwają się (nazbyt powoli, wskutek łatwego ruszczenia się) w kierunku wschodnim. *Proces migracji narodu ukraińskiego ku wschodowi jest niewątpliwy.* Na wschodnich wybrzeżach Morza Czarnego, w stronę Uralu i Morza Kaspijskiego, skolonizowali oni w ciągu wieków ogromne obszary stepu, dawniej puste lub rzadko zasiedlone przez Tatarów itp.

Tak więc, z którejkolwiek strony rozważamy zagadnienie, dojdziemy do przekonania, że PAŃSTWO UKRAIŃSKIE POWSTAĆ MOŻE TYLKO NA WSCHÓD OD ZBRUCZA, raz dlatego, że terytoria na zachód od tej rzeki są narodowościowo mieszane, po wtóre — że polskość posuwa się nieuchronnie na wschód, po trzecie, że Polska tych ziem nie da nikomu, po czwarte, że absurdem jest powstanie Ukrainy, będącej jednocześne w wojnie z Rosją i z Polską. *Targnięcie się Ukraińców na ziemie połudn.-wschodnie Rzplitej to wojna nierówna, na śmierć i życie, w której żywioł ukraiński — ten Piemont przyszłej Ukrainy — może zostać doszczętnie rozbity i zniszczony, ewentualnie wysiedlony, jak to zrobiła Turcja z Grekami w Azji Mniejszej.*

Sprawa ustroju przyszłego tych ziem dwunarodowych, to znowu inny problem. O autonomii jednak może być mowa dopiero wówczas, gdy zmieni się styl życia politycznego w Polsce, gdy wpływ decydujący na kształtowanie jej losów zyska nowa, idąca generacja, która chce wielkich wysiłków imperiotwórczych, a która będzie mogła zawierać umowy z innymi narodami w pełni odpowiedzialności za nie.

Platforma sojuszu obu narodów

Oto warunki ustalenia trwałej i szeroko zakrojonej współpracy historycznej obydwu narodów. Nie przeczę, że wyrastają tu duże trudności, i to z obu stron. Wiem, że decyzja rezygnacji z przynależności państwowej Rusi Halickiej do przyszłej „Wielkiej Ukrainy“ nie jest tak łatwa dla przywódców narodu. „Zmarnowany kapitał“ normalizacji utrudnia im rozmowę na ten temat z własnym społeczeństwem. Wreszcie fałszywe rozumienie stanowiska Polski w sprawie „Ukrainy Karpackiej“ rozgoryczyło przeciw nam rzesze Ukraińców całego świata. To wszystko trzeba będzie dopiero odrobić.

Z drugiej strony, *angażowanie się w czynną politykę wschodnią jest ogromnie niepopularne w społeczeństwie polskim.* Istnieje powszechne przekonanie, że „robienie Ukrainy“ to jest „wywoływanie wilka z lasu“ na szkodę Polski. Nastroje te pogłębiły się po ostatnich doświadczeniach, gdy zobaczono, że idea niepodległej Ukrainy stanowi znakomity instrument w ręku obcych potęg przeciwko Polsce. W tych warunkach nieliczna grupa aktywistów polskich ma akcję w tym kierunku niepomiernie utrudnioną. Jest to skutek złej polityki Ukraińców „galicyjskich“, którzy znów mają nieszczęśliwą rękę w stawianiu kwestii ukraińskiej, tak jak w latach 1918 — 20, kiedy przyczynili się do jej pogrzebania, przez wszczęcie w nieodpowiedniej chwili wojny z narodem polskim.

W tym stanie rzeczy inicjatywa porozumienia należeć musi do Ukraińców. Gdyby jednak te trudności psychologiczne dały się nawet przezwyciężyć, to będzie dopiero drugie 5% drogi. Dalszym etapem musi być *stworzenie jakiegoś wspólnego ośrodka polsko - ukraińskiej myśli imperialnej,* ugruntowanego na całkiem nowych podstawach. Praca i rozum stanu, oto elementy konieczne tego współdziałania.

I tu dopiero zaczną się właściwe trudności realizacyjne. Praca przygotowawcza bowiem nie stworzy cudów, nie wywoła sztuką magiczną ducha niepodległej Ukrainy. *Waga przelanej krwi, oto co decyduje o takich przełomach. A to jest zawsze decyzja, którą niełatwo powziąć odpowiedzialnym za swój naród mężom stanu.*

Polska na loterii państwa nie wygrała, lecz wywalczyła go olbrzymią ofiarą krwi, cierpień i wysiłków twórczych. Kto sobie wyobraża, że ten dorobek bezprzykładnej ceny może być lekkomyślnie rzucony na szalę wydarzeń, ten nie wart, by z nim mówić o tych problemach.

Polska ma do wyboru w swej polityce wschodniej albo „mały program“, program obrony bezwzględnej swego stanu posiadania, wykluczający posunięcia ryzykowne, albo „wielki program“, połączony z równie wielkim ryzykiem. Państwo ukraińskie ma szanse powstania, gdy Polska pójdzie na ów „wielki program“, zawarty najogólniej w pojęciu misji dziejowej narodu. Aby to mogło nastąpić, musi wprzód w Polsce zwyciężyć ta idea posłannicza i muszą być rozwiązane pozytywnie palące problemy wewnętrzne Rzeczypospolitej. Toteż w interesie narodu ukraińskiego leży nie tylko to, by armia polska była silna. W interesie jego leży również uzbrojenie gospodarcze Polski, a w pierwszym rzędzie zwycięskie dla żywiołu polskiego rozwiązanie kwestii żydowskiej, która Polskę trzyma w minimalizmie duchowym, która ją przemalowuje wciąż na „czerwono“ w interesie Rosji, która paraliżuje jej aktywność twórczą.

Mówi się nieraz: polityka polega na tym, że jeden drugiego chce oszukać. Jest to skrajne pomieszanie pojęć. W rozprawie mej pt.. „Polityka a moralność“ wykazałem, że w polityce kłamstwo mści się, a prawda zawsze odnosi triumf. Polityka jest to sztuka organizowania sił twórczych i budowania historii. Wielcy myśliciele i wieszczowie Polski uczyli nas, że świętość celów wymaga też świętości środków. Otóż ja wierzę fanatycznie w możliwość stworzenia w Europie Środkowej nowej kultury chrześcijańskiej, opartej na wolności i ładzie, na prawdzie i sprawiedliwości. I jestem głęboko przeświadczony, że przed narodami tej strefy, zorganizowanymi na takich zasadach, otwiera się wielka przyszłość.

Jest miejsce w tak pomyślanej, nowej Europie Środkowej na sojusz duchowy narodów polskiego i ukraińskiego, który — po zbudowaniu nowej Rzeczypospolitej, „matki narodów“ — będzie na tyle potężny i dynamiczny, że będzie mógł rozwiązać pomyślnie i ten najtrudniejszy problem: reorganizacji Europy wschodniej.

Problem krucjaty wschodniej

Nie chcę tu dyskutować szeroko zagadnienia aktywizacji polityki wschodniej. Powiedzmy od razu otwarcie, że aktywizacja taka jest równoznaczna z programem rozczłonkowania obecnego imperium rosyjskiego. „Rozbicie Rosji“ — tak to nazywają nasi imperialiści. Ja traktuję rzecz nieco inaczej. Przyznaję narodowi rosyjskiemu to, co mu się należy. Pytam jednak:

Co Rosja zdziałała dotąd na wielkim planie historii?

W płaszczyźnie imperialnej — bezduszna zaborczość, w płaszczyźnie religijnej — ateizm, nihilizm i bolszewizm, jako konkluzja ostateczna „raskołu“, w płaszczyźnie słowiańskiej — egoizm i dyskredytacja tej pięknej idei. Rosja tedy NIE WYPEŁNIŁA SWEJ MISJI HISTORYCZNEJ.

Nie twierdzę, że to już koniec, że Rosja nie odrodzi się kiedyś duchowo. Obecnie jednak nic nie da-

je podstaw do takiego przypuszczenia. *Polska więc ma pełne prawo podjąć swą rolę opatrznościową w Słowiańszczyźnie, ma obowiązek zniszczyć nieprzyjaciół Boga i kultury, ma atrybucje moralne do likwidacji imperium rosyjskiego w jego dotychczasowych granicach.*

Obojętne jest czy ta idea ma się nazywać „prometejską“ czy też inaczej. Chodzi o zakrój problemu. W jego ramach mieści się siłą rzeczy budowa Ukrainy. Oczywista, może się ona powieść i w mniejszych ramach, bez poruszenia zagadnienia wszystkich narodów uciśnionych ZSSR, w najszerszej skali. Byłaby to jednak kwestia przypadku i koniunktury, a nie rozwiązanie organiczne.

Tu związek problemu polsko - ukraińskiego z kwestią prometejską. Bowiem spór między narodem polskim a ukraińskim stawia ją całą pod znakiem zapytania. Pomyślne załatwienie ich zagadnień spornych leży tedy w interesie wszystkich innych narodów kompleksu eurazjatyckiego.

Jeżeli już rozpatrujemy zagadnienie ukraińskie w tak szerokich ramach, trudno pominąć inny jego aspekt uniwersalny, już nie polityczny lecz religijny. Mam na myśli problem „cerkwi“, w jego najszerszym rozpostarciu: katolicyzm — unia — prawosławie. Mogę tu tylko dotknąć tej delikatnej materii. Zaznaczę jednak, że *jestem przeciwnikiem „rewindykacji wyznaniowych“, w sensie presji na ludność innowierczą, nawracanie takie bowiem uważam za niemoralne i absurdalne.* W ogóle patrzę sceptycznie na katolicyzację wschodu, przynajmniej w obecnych warunkach. Zanim ta sprawa dojrzeje, musi się przeistoczyć wewnętrznie i odrodzić sam katolicyzm polski, muszą też zajść nowe procesy przeobrażeniowe na wschodzie.

Tym niemniej prawosławie jest dziś rozbite, spustoszone i w znacznej mierze zdyskredytowane, jako organizacja i siła duchowa. Skoro tedy rozsnuwa się tak daleko idące plany polityczne, dotyczące tego obszaru kulturowego, trudno przemilczeć kwestię jego przyszłej organizacji duchowej. *Pozostaje więc unia. To dziś najlepsze i to jest tradycyjna droga, po której szła Polska.* Myślę, że wkroczy na nią i Ukraina (tu jedno zastrzeżenie: Polacy grecko-katolickiego wyznania muszą mieć zagwarantowane wszystkie swe prawa narodowe). Jest to narazie teoretyczne i formalne rozwiązanie. Przyjdzie jednak niewątpliwie czas nowego apostolstwa i to będze misja wspólna obu narodów na wschodzie, w stosunku do Rosji w pierwszym rzędzie.

Ecce sunt duo gladii...

Oto pobieżny rzut oka na całość zagadnienia polsko - ukraińskiego, tak jak się ono rysuje moim oczom. Podjąłem je z wiarą w wielkość sprawy i z dobrą wolą. Dlatego nie ukrywam żadnych trudności i sformułowałem tak radykalnie stanowisko Polski, jak je rozumiem ja i moi ideowi przyjaciele.

Ukraińcy bowiem nie są chyba ślepi na to, że prymitywnie pojęty interes polityczny polski każe po prostu utrzymywać jak najdłużej status quo w kwestii ukraińskiej. Trzeba wielkiego wysiłku i odwagi prawdy, aby w dzisiejszych okolicznościach pchnąć sprawę naprzód w kierunku „wielkiego programu“.

Toteż:

1) *Polska musi mieć pewność, że poruszając kwestię ukraińską nie działa na własną szkodę;*

2) *Polska musi mieć z kim mówić w tej sprawie, jako z odpowiedzialną reprezentacją całego narodu ukraińskiego;*

3) *Polska musi się domagać od swych ewentualnych kontrahentów historycznych uczciwej gry i głębokiego rozumu stanu.*

Żyjemy w epoce burzliwej. Fatum wieje nad Europą, zdmuchuje rządy i przesuwa granice, wznieca ogromną bitwę idej. W tym iście apokaliptycznym klimacie, zarazem mroźnym i rozpalonym do czerwoności, trzeba zachować pełnię żywotności i równowagi ducha. Twórczy rozum ludzki, wsparty o absolutne kryteria i wiarę w Boga musi wyjść śmiało na przeciw wydarzeniom i okiełznać fatum, tak jak Diomedes kiełzał rozwścieczone rumaki trackie.

Myśl i wola zdolne są dyktować żywiołom swoje prawa. Ale stosunki między tymi, którzy zawierają sojusz dla walki z nieznanym, muszą być oparte na prawdzie. Miecze narodów skrzyżować się muszą w solennej przysiędze, że nie będą mieć miejsca w ich współżyciu rycerskim ani fałsz ani potwarz ani intryga.

Jerzy Braun.

W zaułkach szkodliwej psychozy

Nie ulega wątpliwości, że pod miano chorobliwej psychozy podciągnąć należy przejawy niedoceniania przez Polaków własnej filozofii narodowej, własnych wielkich twórców, własnego dorobku kulturalnego, przecenianie zaś wszystkiego tego, co obce, co stemplem Nietzchego, Marksa, Hegla i Lenina znaczone.

Chorobliwą psychozą jest niechęć Polaków do poznania twórczości Wrońskiego. Ten i ów z zabierających głos nie widział nawet dzieł Wrońskiego, a już go „śmiertelnie nienawidzi“. Jakże doszło do tego, że można coś „śmiertelnie nienawidzieć“, nie widząc nawet co by to było?

Można by ten fakt tłumaczyć dwojako: psychologicznie i racjonalistycznie.

I.

Oto tłumaczenie psychologiczne: W głębinach duszy człowieka drzemią pierwotne, instynktowne siły, które wzdragają się przed wszelką nowością, przed wgłębianiem się w rzeczy trudne i przerastające zwykłą wyobraźnię, automatycznie przyzwyczajoną do ujmowania tylko zjawisk powszednich.

To tłumaczenie nie jest wcale bezpodstawne. Przecież każdy dzikus musi przezwyciężyć mistyczny lęk przed niewiadomem, nim wzniesie się na wyższy

stopień rozwoju umysłowego. Dzieje ludzkości, to przecież nic innego, jak tylko stałe, powolne wyzwalanie się z owej mistycznej, irracjonalnej niechęci i lęku przed światłem rozumu.

A tak. Przed światłem rozumu, bo tylko rozum zdołał rozproszyć mroki lęku i grozy przed zjawiskami przyrody, przed „demonami“ i „duchami“ ziemi, powietrza i wody, przed groźnym światem widzialnym i przed tajemniczym światem niewidzialnym.

Ten lęk przed zagłębianiem się w rzeczy, których się nie rozumie i dziś trwa jeszcze wśród ludu, wśród warstw mało kulturalnych. Wytworzył on w języku ludu szereg eufemizmów, omówień; według pojęć ludu — rzeczy nieznanej, tajemniczej nie należy nawet nazywać, trzeba być jak najdalej od niej („po co wywoływać wilka z lasu“?).

Spróbujmy w kółku dewocyjnym poruszyć krytycznie niektóre zagadnienia religijne, obaczymy jak nieufnie i z jaką obawą będą przyjęte nasze wywody. A przecież Ojcowie Kościoła ze swobodą poruszają najtrudniejsze i najzawilsze zagadnienia religii.

Instynkt człowieka broni się przed światłem. Demony mroku i lęku opuszczały ludzkość w miarę zapalania się świateł rozumu. Barbarzyństwo ciemności ustąpić musiało miejsca kulturze i cywilizacji. Ale nie łudźmy się, żeśmy już wygnali z dusz ludzkich wszelki mrok i lęk. Tak nie jest. W istocie człowieka tkwią jeszcze złoża i formacje takich mroków, że zatonąć w nich może bez reszty świat kultury i cywilizacji.

Pod osłoną mroku żeruje zło. I oto ono jest przyczyną lęku, przyczyną hamującą pęd człowieka ku światłom rozumu.

Proszę zauważyć tylko, jak się pieklą wyznawcy Marksa na samo wspomnienie imienia Chrystusowego. Gdyby nie czuli grozy przed postacią Chrystusa, Synem światłości, cóż by im szkodziła religia?

II.

Ile razy my, którzy zajmujemy się badaniem twórczości Wrońskiego, słyszymy od naszych publicystów, dziennikarzy, ba, nawet współczesnych naszych filozofów, słowa — „nienawidzę Wrońskiego“ — ile razy otrzymujemy na nasze pytania: — „Czy łaskawy pan czytał i zna dzieła Wrońskiego?“ — odpowiedź — „Nie czytałem, i nie zamierzam czytać“ — tyle razy ogarnia nas zdumienie. Nie możemy oprzeć się wrażeniu, że stoimy oto przed czymś zgoła irracjonalnym. Zjawisko zaiste niesamowite.

Dotychczas nie została wszechstronnie opracowana filozofia Wrońskiego, dotychczas dziesiątki jego dzieł zalegają półki bibliotek jako rękopisy, dotychczas zaledwie cząstka jego idej i myśli otrzymała jakie takie oświetlenie, a już wydaje się ujemny, apodyktyczny sąd o całokształcie twórczości Wrońskiego, o miejscu jego w kulturze polskiej, przekreśla się go i likwiduje.

Mickiewicz uchodzi przed nienawiścią krytyków i sędziów pióra, chociaż to on jest twórcą mistycznego mesjanizmu, sprawcą wypaczenia pojęcia „mesjanizm“. Słowacki uchodzi. Cieszkowski uchodzi. Nawet Towiański uchodzi. Tych nie nienawidzą. Ale gdy wspomnieć o wartości dzieł Wrońskiego, od razu w naszych zacnych rodakach przewracają się wszystkie wnętrzności. Co to jest? Można kogoś nienawidzić, nie wiedząc kim jest? Jaką przedstawia wartość jako uczony? Jako myśliciel?

Czy ma jakiekolwiek racjonalne podstawy owa nienawiść?

Psychologiczne tłumaczenie niechęci do Wrońskiego wyjaśnia tylko część zagadnienia. Trudno bowiem przypuścić, by ludzie, którzy parają się nauką, którzy zajmują się badaniem naukowym, szerzeniem świateł wiedzy, mogli wydawać nieprzychylny sąd z obawy przed tym samym „światłem wiedzy“. Skoro jednak taki sąd wydają (faktem zaś jest, że wydają), to ten sąd albo jest im narzucony, albo mylnie interpretują Wrońskiego, albo wreszcie Wroński istotnie nic wielkiego nie stworzył.

Po kolei przyjrzyjmy się każdemu z tych wniosków. Zaczniemy od trzeciego.

III.

Wroński, jak wiemy, napisał kilkaset dzieł naukowych — matematycznych, astronomicznych, historiozoficznych, filozoficznych, stworzył samodzielny systemat filozoficzny, dokonał wielu odkryć naukowych. To wszystko czeka jeszcze na źródłowe, krytyczne opracowanie. Zaledwie znikoma część twórczej pracy Wrońskiego została wydana. Czy można więc z czystym sumieniem, z ręką na piersi, powiedzieć, że Wroński jest mniejszy od tego lub innego obcego filozofa i naukowca, że nic nie znaczy w dziejach kultury ogólnoludzkiej i polskiej? Czy może rzetelny i uczciwy Polak bez uczucia wstydu wypowiadać nieprzychylny sąd o Wrońskim, gdy nie mamy dotychczas zbiorowego wydania w języku polskim jego dzieł? Gdy rękopisy jego dzieł naukowych i filozofiznych butwieją w bibliotece Kórnickiej i bibliotece Narodowej lub w prywatnych szafach zbieraczy?

Jak nazwać więc takiego sędziego, który wydaje wyrok, zanim pozna dokładnie całokształt sprawy oskarżonego?

Takich właśnie dziwnego pokroju sędziów pracy twórczej Wrońskiego mamy w Polsce bardzo dużo.

Z „Pionów“ i poziomów kultury polskiej sypią się wyroki na Wrońskiego. Sypią się wyroki na tych, którzy podjęli się roli zbadania spuścizny tego myśliciela. Zaiste „niewydarzeni“ to sędziowie, którzy obrońców oskarżonego nawet słuchać nie chcą i urągają im w ten sam sposób od szeregu lat. Bo posłuchajmy, co się nie mówi.

Od szeregu lat mówi się:

W dziełach Wrońskiego nie ma żadnych nadzwyczajnych rzeczy, żadnych odkryć filozoficznych, szkoda wydawać po polsku te dzieła (przypominamy, 11 lat w Kasie Mianowskiego przeleżała „Filozofia Matematyki“, by wreszcie ukazać się dzięki ofiarności prywatnej jednostki). — Równocześnie jednak widzimy, że we Francji podjęto zbiorową edycję dzieł Wrońskiego, opatrzoną komentarzami, wydano także w fotograficznym odbiciu jego dzieła matematyczne.

Co? Może pomyłka?

Równocześnie grono badaczy polskich rzuca na rynek raz po raz nowe książki, oświetlające zdobycze naukowe i filozoficzne Wrońskiego (P. Chomicz, P. Demiańczuk, J. Braun, C. Jastrzębiec - Kozłowski). Okazuje się, że dla czytelnika polskiego to wszystko podobno nie ma znaczenia, bo to piszą sami „wrońskiści“, nienawistne plemię. Czy może piszą nie nau-

kowo? Bynajmniej. Ścisła filozofia i ścisła matematyka.

Nasi jednak „pionowcy“ i „poziomowcy“ krzyczą: „Podajcie w wątpliwość słuszność samych założeń Wrońskiego“. O co im chodzi? A czemuż to zacni panowie sędziowie i krytycy nie podejmą się tej roboty? A jeśli się podejmują, to potem okazuje się, że w pracach ich znajduje się blaga, bluff, niezrozumienie.

Co by pomyślał i powiedział matematyk o takim osobniku ,który mówi mu: „Podaj pan w wątpliwość, że 7× 8 jest 56“? Albo: „Wie pan, że nie pojąłem nic z wyższej matematyki, ani z całek ani z różniczek“.

Matematyk wzruszyłby ramionami i rzekł: „Strać się z oczu, drogi panie, bo albo jesteś niezdolny do nauczenia się i zrozumienia tych podstawowych rzeczy, albo udajesz greka. W jednym i drugim wypadku, nie mamy z sobą co gadać, szkoda czasu i mitręgi“.

Dlaczego to wrońskiści mówić mają na czarne— białe, na prawdę — kłamstwo?

Niech panowie sędziowie podadzą w wątpliwość podstawowe zdobycze i twierdzenia Wrońskiego. Nikt przecież nie będzie miał nic przeciw temu. A więc trzeba rozgryźć Prawo Tworzenia. Aby zaś to Prawo krytykować, trzeba poznać wpierw dużą pracę Warraina pt. „Wiązanie metafizyczne“. Następnie — prosimy podać w wątpliwość twierdzenie Wrońskiego, że filozofia — to wiedza o samej wiedzy czyli — obok bytu — drugim elemencie rzeczywistości. Wpierw jednak trzeba zaznajomić się z dziejami filozofii, z dziełami Kanta, z filozofią postkantowską w Niemczech, z „Propedeutyką“ oraz „Genezą filozofii“ Wrońskiego. Cóż, duży trud? Nie opłaci się.

A może panowie sędziowie podadzą w wątpliwość podstawowe twierdzenie Wrońskiego z zakresu religiologii, o kreacjoniżmie twórczym? Ale tu znów trzeba czytać Ojców Kościoła. Kto by tam dzisiaj, w epoce Marksa i Lenina, czytał te rzeczy.

Twórczość Wrońskiego ,to nie ciepła kawka w Ziemiańskiej, ani słodka lemoniada, ani żaden inny taki lekuchny „napitek umysłowy“ dla ckliwych paniuś i wrażliwych młodzieńców, dla krytyków bez przygotowania filozoficznego i dla dziennikarzy bez znajomości spraw kultury narodowej.

Jakże to?

Któż to ma podawać w wątpliwość jakąś rzecz, ten, który ją afirmuje czy ten, którą ją neguje? Jeśli dla nas pewne twierdzenia Wrońskiego są oczywiste i jasne, to my sami mamy podawać je w wątpliwość? Gdzież tu logika? Wygląda to mniej więcej tak:

Idę ścieżką górską i dotarłem na pewną wysokość, skąd rozlega się piękny widok na dalsze partie i szczyty gór. Widzę, że ścieżka, którą mam iść ,nie jest bynajmniej taka zła, jak się wydaje temu, który u podnóża góry stoi. Nagle słyszę głos: „Hej, tam, panie, ta ścieżka, którą idziesz nic nie jest warta, „podaj ją w wątpliwość“, schodź z góry, pójdziemy oto tym zakosem!“. A ja właśnie widzę już z wysoka, że za tym zakosem jest przepaść, że tamta druga zachwalana ścieżka urywa się nagle. Czy wtedy mam słuchać owego pomyleńca, który mnie namawia, bym podał w wątpliwość moją drogę?

Otóż sprawę trzeba tak rozwiązać: Nie należy podawać w wątpliwość *oczywistej prawdy, gdziekolwiek ona się przejawia,* należy zaś podawać w wątpliwość wszelki błąd i kłamstwo czy to u Kanta, czy Wrońskiego, Platona czy Marksa. Tylko trzeba wpierw *koniecznie udowodnić,* że to a to właśnie jest błędem i fałszem. I tu jest właśnie dla krytyków dzieła Wrońskiego duże pole do działania. Prosimy podjąć tę krytykę. Pokażcie, co potraficie.

Z tym właśnie łączy się zagadnienie interpretacji.

IV.

Interpretacja musi odpowiadać istocie rzeczy. musi być zgodna z prawdą. Wszelka inna interpretacja nie może wytrzymać krytyki. Przeciwnicy nasi zarzucają nam, że dopuszczamy dyskusję o tyle, o ile dotyczy ona interpretacyj tego czy innego twierdzenia Wrońskiego i że dyskusję prowadzimy nie rzeczowo ale z wymyślaniem i innymi brzydkimi sposobami. Dlatego też podobno nie warto z nami dyskutować.

Cóż zrobić. Jesteśmy oto w takim położeniu, że przeciwnicy nasi dyskutując z nami nie zadają sobie trudu poznania podstawowych dzieł Wrońskiego. Jeśli komuś, kto czytał tylko „Prodrom mesjanizmu“ powiedzieć, że zna za mało Wrońskiego i że w ogóle należy przygotować się filozoficznie do dyskusji przez zgłębianie problemów filozofii, to ten ktoś zaraz sie obrazi.

Warto jednak dla sprawdzenia owego zarzutu przeglądnać polemiki ,Zetu“ sine ira. Czy naprawdę znaleźć w nich można tylko urągania przeciwnikom? Czy naprawdę nie ma w nich argumentów rzeczowych?

Takie niesumienne gadanie jest tylko myleniem tropów. Dla ludzi szukających prawdy mamy zawsze najgłębszą cześć ,choćby błądzili, choćby nie godzili się z nami i zwalczali nas.

V.

W związku z zarzutem, jakobyśmy byli nielojalni i niegrzeczni dla przeciwników, jakobyśmy „wierzyli“ we wszystko co Wroński napisał i powiedział, ukuto przeciw nam zarzut, że jesteśmy „sektą religijną“.

Niby, że my przyjmujemy wszystko z Wrońskiego „na wiarę“. Cały „wrońskizm“ to niby coś z ciemnej magii. Bardziej absurdalnego zarzutu w stosunku do doktryny, która chce zamienić *credo* religijne na *cognosco*, postawić nie można. Kto stawia taki zarzut, albo nic a nic z doktryny Wrońskiego nie pojął, albo świadomie wprowadza ludzi w błąd.

Sektę religijną cechuje kult jednostki, bynajmniej nie kult p r a w d y. A przecież dewizą Wrońskiego i naszą jest poznanie prawdy i tylko prawdy. Nikt z ludzi śmiertelnych nie może i nie powinien podstawiać siebie na miejsce prawdy i wymagać dla siebie kultu boskiego. Gdy tak jest, społeczeństwo popada w niechybną zgubę. Człowiek ma

W n-rze niniejszym załączamy P.T. Prenumeratorom naszego pisma wykaz do jakiego czasu uiścili opłatę za „Zet“, prosząc uprzejmie, aby Ci. którzy z opłatą za pismo zalegają, zechcieli łaskawie wpłacić na nasze konto wskazane Im na wykazie sumy

Administracja

prawo do czci o tyle, o *ile służy prawdzie*. Stąd też uznawać należy hierarchię twórców i autorytety w ludzkości ,ale nie wolno tworzyć boskiego kultu jednostki, co robią właśnie sekty religijne w stosunku do swych założycieli. Stąd też wyprowadza się krytyczny stosunek wrońskistów do Nietzschego, Marksa, Lenina, bo oni głosili fałsz, co udowadniamy stale i systematycznie.

Zarzutem „sekty religijnej" operują nasi przeciwnicy od dawna. Jesteśmy szkołą filozoficzną, która ma ambicję stworzyć w Polsce szeroki prąd kulturalny, który by pchnął naprzód badania naukowe w zakresie filozofii, w dziedzinie sztuki i religii. Chcemy wykazać, że „P o l a c y n i e o s ł y, t e ż s w e m y ś l i m a j ą". Ba i jakie myśli!

Czemuż to wadzi Polakom, że znajduje się grupka ludzi, która postanowiła podnieść z zapomnienia pracę Wrońskiego? I że tę pracę bierze poważnie? Czyżby to było takie karygodne?

Wykażcie nam, że badamy dzieła i twórczość Wrońskiego źle, pokażcie nam, jak tę sprawę poprowadzić należy; kto wie, czy nie usłuchamy.

Panowie krytycy jednak nie zrobią tego. Dlaczego? Całkiem po prostu. Dla nich ruch około idej Wrońskiego jest niebezpieczny. Ten ruch demaskuje wielu z przysięgłych krytyków i sędziów Wrońskiego jako agentury obce na gruncie polskim. I tu właśnie dotykamy podstawowej przyczyny niechęci do Wrońskiego.

Przeciwnicy Wrońskiego, reprezentujący inny typ myślenia, inną kulturę duchową, nie mogą dopuścić do szerzenia się idej Wrońskiego w Polsce. Jakże demoliberali albo marksiści, albo duchowo zmasonizowani publicyści opowiadać się mogą za tym, którego twórczość ideowa znosi ich z powierzchni ziemi?

Ci właśnie przeciwnicy organizują świadomy swych celów i zamierzeń ruch antywrońskistyczny.

VI.

Aby ośmieszyć Wrońskiego i jego idee, przeciwnicy imputują nam, że wszędzie dopatrujemy się „tajnej mafii".

Rozpatrzmy i tę kwestię. Dzisiaj, gdy nawet nasze czynniki rządowe zdecydowały się wydać ustawę antymasońską, trudno chyba zaprzeczyć, że w państwach istnieją tajne ośrodki dyspozycyjne, które usiłują trzymać rękę na pulsie spraw wszelakich. Z naczelnych kół tych ośrodków wychodzą pewne dyrektywy. Władze naczelne tych ośrodków mają przecież, bo mieć muszą, pewną generalną linię działania. Nie muszą swej roboty robić na oczach wszystkich. Wystarczy, że od czasu do czasu rzucą w społeczeństwo jakiś slogan, jakieś hasło i już machina działa. Działa, ponieważ trafia na grunt tzw. p s y c h o s f e r y, a więc w krąg osób odpowiednio uczuciowo i myślowo nastawionych. Teren przygotowuje czasem szkoła, częściej prasa, demagodzy partyjni itp.

Z wycinków, jakie przechowujemy w archiwum, widzimy, że zarzuty przeciwko Wrońskiemu od początku propagacji jego idej w Polsce, są wciąż te same. Powtarzają się kropka w kropkę. Aż ochota bierze wykrzyknąć: Panowie, wymyślcie coś nowego! Rok po roku to samiusieńko! Z „Pionu" czy z poziomu, z „Rocznika literackiego" czy z „Ateneum" odpowiednio nastrojony cenzor, jakby pod naciskiem mechanicznego guziczka, wywala przeciwko wrońskizmowi te same argumenty. Ergo: *jest metoda w tym szaleństwie*. Nie ziębi nas to ni grzeje. Agentury obce i mafie przeżyją się. My zaś przetrwamy, pracujemy bowiem w świetle p r a w d y i na widoku ludzkim.

Nie miałyżby obce agentury, mafie i zwolennicy lóż, progenitura duchowa masonii walczyć z nami? Co? Może powinni nas chwalić? Za to, że „Zet" pierwszy, od początku swego istnienia, robił złą markę mafiom w Polsce?

Z ludźmi, którzy świadomie tamują pęd do badania działalności twórczej Wrońskiego oraz propagację jego idej, sprzymierza się ów ciemny instynkt człowieka, który broni się przed światłem rozumu. Zauważmy, że dla pewnych kół w Polsce rozum, w myśl definicji Boya, jest „patologiczną naroślą" na zdrowym ciele człowieka. W taki oto sposób wytwarza się szkodliwa psychoza przeciw Wrońskiemu. Ulegają tej psychozie i ludzie skąd inąd zacni, ludzie prostoduszni, łatwowierni i dobrzy.

Jestem pewny, że z mego artykułu przeciwnicy Wrońskiego wyłowią tylko to, co ich zdaniem będzie potwierdzało, że my wierzymy w „tajne mafie" (o ile w ogóle będą pisali o tym artykule). Otóż rzecz się ma tak: My nie *wierzymy*, ale *wiemy*, że „tajne mafie" istnieją. To chyba gruba różnica. I w tej dziedzinie spraw ludzkich myśmy credo przetworzyli na cognosco. Dowody? Choćby ten, że państwo nasze zmuszone było zamknąć loże masońskie. Mamy i inne, czysto rozumowe i rzeczowe, tylko że jednostki zainteresowane nie pragną tych dowodów poznać.

VII.

I jeszcze jeden stały zarzut: „Wrońskiści uprawiają pseudofilozofię. Piszą niezrozumiale i zawile. Nie rozumiemy ich".

Hm? Na własne uszy słyszałem, jak jeden z wybitnych naszych logistów oświadczył publicznie, że nie rozumie słowa „*transcendentny*". Bóg z nim. Ale czy jego stanowisko przekreśla tym samym całą filozofię Kanta i postkantowską?

Piszemy niezrozumiale. Używamy słów obcych. Lecz o dziwo, przeglądam teraz prasę codzienną oraz tygodniki i znajduję w nich następujące słowa: *immanentny, aspekt, adekwatny, determinacje, kreacjonizm*. Już otarły się te słowa i osłuchały. Czy było do pomyślenia używanie tych słów w prasie codziennej kilka lat temu?. Maluczko... a przenikną jeszcze do prasy i następujące słowa: *transcendentny, filozofia achrematyczna, autotezja, autogenia, autokreacja* i kilka innych. Nie będziemy odosobnieni w używaniu i operowaniu tymi pojęciami. Powoli, powoli skorupa niejasności pęka i okazuje się, że użycie kilkunastu nieznanych dotychczas terminów filozoficznych, oddających precyzyjnie istotę wyrażalnego i niewyrażalnego, wcale nie może i nie powinno dyskredytować czyichś myśli i idej.

Zarzuty pseudofilozofii skierowane przeciwko wrońskistom upadną, gdy ogólna polska kultura filozoficzna podniesie się. Mówi Wroński: „Człowiek nie mający tej kultury... nie potrafi... nic zrozumieć z tego, co by się mówiło o istocie wiedzy, stanowiącej przedmiot filozofii. Pod tym względem, człowiek bez kultury przypomina owada, który by pełzł na posąg

Apollona Belwederskiego; inteligencja owada nie mogłaby wykryć nic poza marmurem".

Otóż nasi przeciwnicy nie wykrywają nic poza pewnym zestawieniem liter lub dźwięków w naszym rozumowaniu. Winią nas, podczas gdy istota zagadnienia leży w czym innym: w ich własnym słabym przygotowaniu filozoficznym, w ich *kompleksie „minderwertigkeitu"*, a zarazem przesadnego wyobrażenia o wielkości *ich świata pojęć i doświadczeń*, doświadczeń owada, który pełza po posągu Apollina.

Jeśli kamieniem obrazy dla przeciwników wrońskizmu jest słownictwo Wrońskiego, to przyznać uczciwie należało by, że w gruncie rzeczy błahy to powód do obrazy. Niech uweźmie się jakiś zajadły krytyk i wykaże, że poza słowami Wrońskiego nie stoją żadne pojęcia. Niech tylko nie robi tak, jak prof. Ujejski, który przetłumaczył słowo francuskie „savoir" przez „świadomość" a nie przez „wiedzę" — drugi obok bytu pierwiastek rzeczywistości. Wprowadziwszy do swoich tłumaczeń Wrońskiego termin „świadomość", zabrał się Ujejski do szczytów filozofii Wrońskiego i wydawało mu się, że pogrzebał ją z kretesem, wykazując cały bezsens tablic Wrońskiego, zbudowanych na Prawie Tworzenia, gdzie owa rzekoma „świadomość" raz po raz wchodzi w różne kontakty z bytem. Dobra metoda? Można porównać ją z pracą niby-chemika, który tlen bierze za azot i próbuje wykonywać doświadczenia. Oczywiście żadnych rezultatów nie osiągnąwszy, klnie w żywy kamień zdobycze chemii. Proszę teraz porównać Ujejskiego interpretację naczelnych tablic Wrońskiego z interpretacjami drugiego tomu zbiorowego pism Wrońskiego, wydawanych przez Warraina. Na tym przykładzie zobaczymy całą nicość polskiej literatury antywrońskistycznej. I cóż na to poradzić, że pogromcy idej Wrońskiego faktycznie nie kogo innego — tylko siebie gromią?

Z zaułków szkodliwej psychozy w stosunku do Wrońskiego, wyjdziemy dopiero wtedy, gdy całą jego twórczość gruntownie zbadamy, gdy pozwolimy ludziom dobrej woli zająć się bez przeszkody pracą nad olbrzymim dorobkiem duchowym Wrońskiego. Cała plejada uczonych bada niekiedy jakiegoś twórcę i nic to nikomu nie szkodzi; ale gdy się chce posunąć naprzód sprawę Wrońskiego, zaraz robi się gwałt i jazgot szczególny.

Sądzę, że wobec wszystkich wielkich duchów w Polsce winniśmy spełnić ten sam obowiązek. Przyjąć od nich to, co dobrego dla narodu zostawili, a odrzucić to, co było w nich złem i błędem. Ale do afirmacji lub negacji idej jakiegoś twórcy wiedzie tylko jedna droga: — *droga dokładnego poznania dorobku twórczego jego ducha*. Mamy własne państwo, cieszymy się wolnością, niechże w Polsce wolnej i wszyscy jej zmarli a wielcy synowie także wolnymi się czują. Jest prawo krytyki, ale i *jest twarde prawo sumienia i obowiązku*. Niestety od tego drugiego prawa, zdaje się, chcemy się wymigać jako naród — wbrew oczywistej polskiej racji stanu; pozwalamy, aby nam różni judo- i masono-file ustalali opinię o naszych wielkich w narodzie. Czas z tym skończyć.

Antoni Madej.

Numer niniejszy ukazuje się jako podwójny (za styczeń i luty) w zwiększonej objętości. Poczynając od następnego numeru „Zet" będzie się ukazywał w pierwszych dniach każdego miesiąca.

Redakcja

Książki

Ks. Józef Pastuszka: Psyhologia Indywidualna.

Studium krytyczne. 160 str. T-wo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Lublin 1938.

Psychologia indywidualna jest to nazwa psychologiczno - pedagogicznej doktryny Adlera. Alfred Adler wprowadził do psychologii „pojęcie konkretnej jednostki ludzkiej, jako swoistej całości życiowej, która jest niepowtarzalna i choć należy do organizmu społecznego, oraz korzysta z jego kulturalnych wspólnych wartości, posiada jednak odrębne, swoiste życie psychiczne, swą indywidualność".

W pierwszej części swej pracy ks. Pastuszka daje przegląd całej Adlerowskiej doktryny, w drugiej poddaje ją krytyce. Postaramy się przytoczyć tu najznamienniejsze punkty psychologii indywidualnej. (Dwoma = = zaznaczam własne wtrącone uwagi krytyczne).

Początkowo Adler był ścisłym współpracownikiem Freuda, później ich drogi się rozeszły. Miejsce wszechtłumaczącej freudowskiej „libido" zajmuje u Adlera „dążenie do znaczenia" i „poczucie małej wartości". Życie duchowe utożsamia Adler z życiem świadomym. Życie duchowe człowieka wyznaczone jest przez określony cel. Celowe są nawet czyny nieświadome, będące owszem warunkiem czynów świadomych. Celowość jest zasadniczą cechą życia i przeciwstawia się przyczynowości; ta ostatnia gra rolę drugorzędną i nie wystarcza do opanowania chaosu możliwości, jaki przedstawia przyszłość. Czyny ludzkie układają się hierarchicznie i stanowią pewną dynamiczną całość. Jakiś jeden główny cel danej jednostki stanowi jej „styl życiowy". Syntezą duchowego życia jest charakter, jako wypadkowa wszystkich funkcji, składających się na całość dynamiczną. „Charakter to duchowe nastawienie człowieka, sposób jego zachowania się wobec otoczenia, linia przewodnia, po której przebija się do celu jego pęd do zdobycia znaczenia". Charakter nie jest bynajmniej wrodzony, jest nabyty.

Przy wychowaniu, wielki wpływ wywiera postawa życiowa rodziców czy opiekunów, ich sposób reagowania. Dziecko kształtuje swój charakter zależnie od wpływów otoczenia, ale w gruncie samorzutnie: „Charakter jest dziełem twórczej działalności dziecka".

Kosmicznym prawem życia jest dążenie do przewagi; u człowieka ten pęd ujawnia się już we wczesnym dzieciństwie — najpierw instynktowo i podświadomie. Służy temu popędowi wszystko, nawet poznanie nie stanowi wyjątku. Tenże cel przyświeca popędom i woli.

Dwie zasadnicze grupy ludzi — to optymiści i pesymiści, atakujący i atakowani. „Optymiści przeciwstawiają się śmiało trudnościom i przezwyciężają przeszkody. Pesymiści nie mają odwagi życiowej, dopatrują się wszędzie trudności, są nieśmiali i lękliwi".

Gdy na drodze do celu gromadzą się wielkie trudności, występuje znane zjawisko kompensacji. Naj-

ważniejsze zjawisko życiowe, które tłumaczy różnorakość charakterów, a zarazem wyjaśnia załamania życiowe i wady charakteru — to uczucie małej wartości. „Powstaje ono wówczas, gdy dążenie do znaczenia uległo załamaniu i człowiek boleśnie przeżywa rozdźwięk pomiędzy własnymi pragnieniami a ich urzeczywistnieniem“. Na rozwój tego poczucia małej wartości wpływa zdaniem Adlera współczesne wychowanie rodzinne.

Psychologia indywidualna twierdzi, iż żadne różnice psychiczne nie dzielą kobiety od mężczyzny. = Wrońskista nie może się z tym zgodzić, gdyż to by przeczyło dwubiegunowemu ustrojowi wszelkiej, a więc i psychologicznej rzeczywistości. Ciekawe jest w tym względzie zdanie św. Tomasza: „Sicut autem ad perfectionem universi pertinent diversi gradus rerum, ita etiam diversitas sexus est ad perfectionem humanae naturae“. — Przytaczam tu bardzo zajmującą analizę ks. Pastuszki. =

„W dziedzinie spostrzeżeń przewaga jest po stronie mężczyzny, chyba że przedmiot interesuje kobietę uczuciowo. Kobieta ujmuje raczej drobiazgi, mężczyzna — całość. Pamięć kobiet nie wykracza ponad przeciętność. W każdym razie nie są znane wypadki fenomenalnej pamięci, jak to się spotyka u mężczyzn. Pierwiastki uczuciowe odgrywają ważną rolę. Kobieta pamięta dobrze to, co lubi lub nienawidzi.

„Najważniejszą cechą różniczkującą jest dominująca uczuciowość, która przenika wszystkie funkcje psychiczne kobiety, a słabiej występuje u mężczyzny. Kobiety silniej reagują nawet na drobne podniety uczuciowe, głębiej kochają lub nienawidzą. Uczuciowość sprawia, że nie mogą rozproszyć swej uwagi, ale zacieśniają ją do jednego-dwóch przedmiotów; są krańcowe, stronnicze, nie znają umiaru i zimnej rozwagi.

„Jeżeli mężczyzna stawia sobie jaki cel, to wpierw rozważa, waha się, roztrząsa racje, a dopiero później decyduje. Kobieta zaś wypowiada się od razu. Jej się rzecz w jednym momencie albo podoba albo nie, ponieważ cel wywołuje u niej silne uczucia, i te decydują o postawie życiowej.

„Wyobraźnia kobiety — żywa i bujna — znajduje się w służbie przeżyć uczuciowych. Jej skojarzenia są rozleglejsze, ale mało skoncentrowane. Myślenie raczej konkretne, niż abstrakcyjne. Słaba wynalazczość, brak uzdolnień spekulatywnych, mało oryginalności. Kobiety żyją raczej chwilą, niż ideą, ujmują drobne szczegóły, ale nie całość, kierują się więcej intuicją, niż myśleniem dyskursywnym, są mniej rzeczowe, a bardziej stronnicze, idące za głosem serca, kierujące się uczuciami sympatii czy antypatii. Bardziej praktyczna i więcej ofiarna, zdobywająca się na poświęcenie, kobieta zajmuje często inną postawę, niż mężczyzna wobec tych samych zagadnień.

„Mężczyzna jest więcej rzeczowy, o przewadze funkcji poznawczych lub dążeniowych, a słabszym uczuciu. Skłonny do teoretyzowania i spekulacji, więcej konsekwentny w życiu, bardziej równy, kierujący się zasadami ideowymi i bardziej skoncentrowany. Posiada inne zainteresowania i odmienne tempo pracy, niż kobieta.

„Tych różnic, ugruntowanych w strukturze psychicznej obu płci, nie zdoła usunąć ani zmiana warunków społecznych (praca zawodowa), ani koedukacja, od której psychologia indywidualna wiele sobie obiecuje“.

Ale wróćmy do poglądów Adlera.

Nad miarę rozwinięta dążność do znaczenia, gdy nie znajduje realizacji w normalnych warunkach, szuka rekompensaty w innej postaci i wywołuje chorobę, która człowieka chroni przed atakami opinii społecznej; tą chorobą jest nerwica (neuroza). Adler różni się więc od poglądów dawnej medycyny, która źródło neurozy upatrywała w przyczynach organicznych. Zwie on nerwicę „aktem twórczym“ (!), wynaturzoną formą dążenia do przewagi, nie dającego się zaspokoić w sposób normalny.

Przed nadmiernym rozrostem poczucia niższości chroni człowieka uczucie społeczne. Charakter społeczny wyraźnie się zaznacza w wyższych funkcjach psychiki, a więc w myśleniu, wartościowaniu moralnym, w mowie.

Siłę rozpędową psychiki ludzkiej stanowi konflikt czy współzawodnictwo dwu zasadniczych popędów: dążenia do przewagi i uczucia małej wartości. Uzdolnienia i skłonności psychiczne nie są dziedziczne.

„Wyobrażenia i pamięć obejmują przeszłość, natomiast przyszłość jest przedmiotem r o z u m u“. = Adler mieści zatem pamięć i wyobrażenia p o z a rozumem; ale w takim razie gdzież?! =

Prasiłą psychiki ludzkiej jest podług Adlera wola. = Wynikało by z tego, że wola jest czymś prostym, elementarnym, poprzedzającym zarówno czuciowość jak i intellekt. Naszym zdaniem jest to jaskrawy fałsz. =

„Uczucie jest swoistym refleksem aktów psychicznych, podmiotowym wykładnikiem ich harmonii lub dysharmonii z celem życiowym jednostki“. = Zwrot „swoisty refleks“ zgoła nic nie tłumaczy, ale dalsza część zdania wydaje się zasadniczo słuszna. =

Jakie jest źródło religii? „Człowiek, świadom własnych braków, pragnie swe życie podnieść na wyższy poziom, wzbogacić... Jedność życia i konieczność podporządkowania poszczególnych wysiłków jednolitemu planowi życiowemu sprawia, że pojedyńcze cele życiowe nie występują jako autonomiczne, ale jako cele cząstkowe, podporządkowane jednemu, wszechogarniającemu ideałowi. Ten idealny cel życiowy człowiek nazywa Bogiem“. = Bóg to religijna hipostaza absolutu, czyli zasady pierwszej, mającej wszystko tłumaczyć — inaczej samo pojęcie absolutu nie miałoby racji bytu. Tymczasem u Adlera ten absolut, zamiast zdawać rację z — między innymi — psychologii, sam jest właśnie wytworem naszych władz psychologicznych. Niedorzeczny błędnik. =

Życie w ogóle jest irracjonalne; religia, przejaw życia, również jest irracjonalna, nie da się pojęciowo sformułować ani rozumowo uzasadnić = Porównajmy nader ścisłe wyznaczenie rozumowego stanowiska religii w doktrynie Wrońskiego. =

„Człowiek nie jest z natury ani dobry, ani zły“. = Więc jakiż? Zamiast negować oba te bieguny moralne, trzeba owszem zanalizować ich współistnienie i grę wzajemną w człowieku. =

Podczas snu ustaje kontrola rozumu, wola przerywa swą działalność, do głosu dochodzi wyobraźnia i wytwarzane przez nią nastroje. Główną funkcją marzeń sennych jest: wytwarzać nastrój, który wbrew logice ma nas doprowadzić do celu, wytyczonego przez nasz styl życiowy.

Wychowawcy przyświeca cel podwójny: usunąć odchylenia, jakim uległ styl życiowy jednostki, i wytyczyć linię postępowania, zgodną z jej planem życiowym. Przymusu nigdy stosować nie wolno. „Bezwzględna niekaralność, stosunek koleżeński pomiędzy nauczycielem a uczniem, demokratyczne współżycie uczniów w samorządowej gminie szkolnej — są istotnymi częściami nowego systemu wychowawczego“. = Cóż, kiedy wszechświat nie chce się zastosować do tych wskazówek i wcale hojnie aplikuje nam kary. =

Psychologia indywidualna głosi materializm dynamiczny. Życie tkwi w materii martwej. Właściwą duszę wszechświata stanowi ewolucja. Człowiek jest wytworem tej ziemi. Na drodze ewolucji powstała również mowa „jako

konieczny środek porozumienia społecznego. Dla człowieka izolowanego byłaby zbędna". = Wręcz przeciwnego zdania jest głęboki myśliciel - lingwista ukraiński, Aleksander Potebnia. =

„Dusza ludzka nie przedstawia rzeczywistości odrębnej od ciała i podlega tym samym prawom biologicznym". Życie duchowe to tylko swoista funkcja ciała. „O nieśmiertelności duszy można mówić tylko w tym znaczeniu, że człowiek tworzy wartości, które przetrwają jego krótkie istnienie biologiczne". = Jakim cudem Adler godzi swój materializm z finalizmem, a nawet wręcz z odrzuceniem wszelkiej przyczynowości w życiu psychicznym — to już jego tajemnica. =

Sfera podświadoma gra u Adlera rolę jeszcze ważniejszą niż w psychoanalizie Freuda.

•

Całą końcową część swej książki poświęca ks. Pastuszka rozbiorowi krytycznemu zapatrywań Adlera. Czyni to bardzo rzeczowo, sine ira. W wielu punktach przyznaje psychologii indywidualnej znaczne zasługi oraz idealistyczne pobudki. Metafizykę jednak adleryzmu zbija bez trudu. Ze specjalnym naciskiem uwydatnia niepojednalność tez naczelnych Adlera ze stanowiskiem i nauką katolicyzmu.

Książka spełnia zadania, jakie sobie autor wytknął: daje rzetelny obraz adleryzmu, nie pomija jego stron dodatnich, rzeczowo wytyka ujemne. Jest więc dobra i zasługuje na przestudiowanie.

Cz. J.-K.

X. Józef Teodorowicz, Arcybiskup: Herold Chrystusa na tle epoki

Księgarnia św Wojciecha.

„Herold Chrystusa" jest trzecim tomem wielkiej (12 tomowej) monografii o Chrystusie, którą ś. p. arcybiskup Teodorowicz zamierzał wydać, a która podobno w większej części znajduje się już przygotowana do druku. Byłoby to nad wyraz bolesne, gdyby okazało się, że ta, na światową miarę zakreślona, praca o Chrystusie, przez śmierć ks. Teodorowicza nie została doprowadzona do końca. Byłaby to strata istotnie duża.

Dotychczasowe tomy „Od Betleem do Nazaretu" i „Herold Chrystusa", jak najlepiej zapowiadały tę monografię. Oparte na drobiazgowych źródłach, oświetlające każdy szczegół z olbrzymią erudycją naukową, napisane były z prawdziwym poetyckim polotem.

W „Heroldzie" zobrazował ks. arcybiskup Teodorowicz tło epoki, w której występował Jan Chrzciciel, oraz podał jego charakterystykę jako proroka „prostującego ścieżki" przed idącym Panem.

Zdawało by się, że są to czasy tak dalekie od nas, a tymczasem czytając książkę ks. Teodorowicza widzimy, że wiele problemów w niej poruszonych ma znaczenie wiecznie aktualne, że są jakby żywcem wzięte ze współczesności. Choćby np. ten rozdział „Alliance Israelite":

„Pst...! Cicho! — Głośno mówić niebezpiecznie".

„Kto to powiedział i o kim? To Cycero sam w swej mowie w obronie Waleriusza Flakka, pretora Azji Mniejszej w roku 59, używa podobnego zwrotu, wskazując na Żydów. „Summissa voce agam...". Zniżę głos i cicho mówić będę, bo w sprawie żydowskiej mówić należy tak, by nie być słyszanym. Wspaniały retoryczny zwrot! Jakże wiele on rozświeca! Ileż mówi o potężnym wpływie Żydów w starożytnym świecie, nawet w samej Romie.

„Scis, quanta sit manus, quanta comoedia...". Wiesz, z kim mamy sprawę; gdzież się nie docisną ich ręce, a jaka ich solidarność tam, gdzie o ich sprawę idzie. A więc już wtedy znana jest solidarność Żydów, jedna z tajemnic ich wpływu, znana organizacja mistrzowska, która dotrze wszędzie; znany jest przede wszystkim instrument i broń, która wszelkie pokonuje trudności. Nazywa i ją Cycero w tej swojej mowie, gdy mówi: „auri illa iudaici invidia", „zawiść żydowskiego złota".

Ten rozdział przekonuje nas, że nie tylko dzisiaj jest aktualna tzw. „kwestia żydowska", była ona aktualna zawsze. Żydzi nie zmienili swej psychiki w ciągu wieków, zawsze są niebezpieczni dla narodów, z którymi współżyją.

W części drugiej ks. Teodorowicz opracował świetnie zagadnienie partyj wśród Żydów, szczególnie saduceuszów i faryzeuszów. Faryzeizm żydowski idzie przez wieki. Jest dziś taki sam, jak był przed wiekami. W nim przejawia się potęga wypaczonego mesjanizmu żydowskiego. „To, co jest piętą Achillesa jego doktryny, to właśnie okazało się cementem silnym, spajającym żydostwo świata". Warto przeczytać te pouczające i wnikliwe karty dzieła ks. Teodorowicza. Znawstwo przedmiotu znakomite i znakomita interpretacja ducha faryzyjskiego!

W części trzeciej: „Apokaliptyka żydowska" i czwartej „Mesjanizm" — wprowadza nas ks. Teodorowicz w krąg zagadnień eschatologicznych narodu żydowskiego, naświetla ideę mesjanizmu. I te rozdziały wykazują wielką aktualność w odniesieniu do dnia dzisiejszego. Widzimy dlaczego został spaczony mesjanizm proroków, jak daleko odbiegł od swych źródeł. Ks. Teodorowicz raz po raz znajduje wielkie analogie między położeniem żydów a położeniem Polaków w niewoli. Niewola Żydów budziła ich ducha mesjanicznego, jak nasza stworzyła poezję wieszczów i nasz mesjanizm.

Na tle owych czasów (ileż mających rysów zbieżnych z dzisiejszą epoką), monumentalnie rysuje się postać Jana Chrzciciela, człowieka twardego, „głosu wołającego na puszczy". Nakreślił ją autor fascynująco.

„I był to głos istotnie ostatecznych już rozstrzygnięć. Nawet błędów i wad nie dotyka on w sposób, w jaki to czynili wielcy prorocy, tylko prześwietla błyskawicą dusze pod jednym kątem: gotowości ich i sposobności, czy też niegotowości na przyjęcie królestwa Bożego. Głos to krótkich, ale wielkich wezwań do królestwa; głos wielkich nakazów pokuty; głos wezwania i głos sądu. Jak grom pada i razi sumienia, a z wyobraźni bierze dla siebie tylko te osłony, ile jej koniecznie potrzeba, by się wpić w zepsute sumienie. Jak błyskawica pada on w śmienia duszy narodowej i złudzenia i jednym błyskiem światła je rozświeca. Jak grot wpada do głębin dusz, aby zmiękczyć zatwardziałe i jak wosk ugiąć".

W interpretacji i w oświetleniu ks. Teodorowicza, postać Jana Chrzciciela nabiera blasków niezwykłych, chociaż ludzkich. Jest prosta ale i zarazem hieratyczna.

Ks. Teodorowicz jest mistrzem prozy religijnej. Jakże to źle świadczy o naszych stosunkach kulturalnych, że praca pisarska ks. Teodorowicza nie zyskała „złotego wawrzynu". Lecz może to i lepiej, że wśród „uwawrzynionych" pisarzy nie znalazło się to nazwisko. W tym towarzystwie czułby się ks. Teodorowicz bardzo źle.

Na dalsze tomy monografii o Chrystusie wyczekiwać będziemy z niecierpliwością.

Czesław Latawieo: Cyprian Kamil Norwid i jego czasy.

Wydawnictwo Stefana Dippla w Poznaniu. R. 1938.

Prof. Czesław Latawiec, znany polonista poznański, podjął próbę skreślenia szeroko zakrojonej monografii Norwida. Część pierwsza tej pracy, która ukazała się na

rynku księgarskim, obejmuje pierwsze dziesięciolecie twórczości (1842 — 1852) Norwida. Składa się z trzech rozdziałów: „Inwalida intencji", „Szaman i jego uczeń" oraz „Biała tragedia Norwida".

W części zatytułowanej „Inwalida intencji", stanowiącej zarazem introdukcję do całej pracy, prof. Latawiec próbuje nakreślić ogólną charakterystykę Norwida, jako człowieka i jako twórcy. Według mego mniemania autor uprościł sobie zadanie, zaliczając Norwida do typu pisarzy schizotymicznych. Niewątpliwie w charakterze Norwida występują cechy schizotymików, ale wtłaczanie całej twórczości tego poety w ramy schizotymiczne nie wydaje mi się szczęśliwe. W ogóle mam duże zastrzeżenie co do zbyt rygorystycznego podziału twórców na schizotymików i cyklotymików. Ułatwienia schematyczne, jakimi posługujemy się w charakterystykach, są tylko ułatwieniami, niczym więcej. Ponad dziedziną konieczności, a więc psychopatologicznej dziedziczności, determinującej strukturę psychiczną człowieka, stoi dziedzina wolności, korygująca tamtą pierwszą.

Życie ludzkie, a tym bardziej twórczość artysty, choćby początkowo regulowane prawami cyklotymicznymi czy schizotymicznymi, stopniowo wyzwala się z tych praw, obejmując nad nimi władztwo. Wyzwolenie jest tym większe, im większy artysta je przeprowadza. Gdybyśmy temu zaprzeczyli, musielibyśmy przypuścić, że chemizm krwi, dziedzictwo, specjalne konstelacje psychopatologicznych skłonności dziedzicznych, determinują bez reszty człowieka. Równałoby się to zaprzeczeniu wolności człowieka. Takie p s y c h i a t r y c z n e ujęcie jest dzisiaj modne, ale nie wytrzymuje krytyki. Determinizm przekreśla dzisiaj nawet fizyka; chcieć go wprowadzać do psychologii, byłoby to wyraźnym cofaniem się wstecz w nauce!

Nie neguję, że owo „psychiatryczne" spojrzenie na ludzi genialnych i artystów ułatwiło pracę niektórym krytykom o określonym, mniej lub więcej marksistowskim, poglądzie na świat, ale nie chciałbym do grupy tych krytyków zaliczyć prof. Latawca. Inne właściwości jego książki nie nasuwają tego przypuszczenia, raczej przeciwnie, mówią o tym, że prof. Latawcowi nie są obce i dalekie idee chrześcijańskie.

Owo psychiatrycznie determinujące spojrzenie na Norwida sprawiło jednak to, że zaraz w pierwszym zdaniu swej pracy, prof. Latawiec wypowiedział sąd, z którym się trudno zgodzić:

„Obserwując stosunek społeczeństwa polskiego do Norwida, można zdaje się dojść do jednego tylko pewniku: twórczość jego skazana jest na wieczną niepopularność. Źródło niepopularności tej nie leży jednak w niezrozumieniu poety, ale w obcości jego usposobienia psychice narodowej. W Polsce popularni są i wziętością cieszą się tylko pisarze o usposobieniu cyklotymicznym".

Lansowanie pewników w dziedzinie tak w o l n ej, jaką jest stosunek narodu do twórczości tego czy innego wielkiego poety lub artysty, jest dosyć ryzykowne. Następnie niepopularność wśród mas nie przesądza popularności wśród górnych dziesięciu tysięcy, co znowu w pewnej mierze oddziaływać może i musi na masy i kierunek twórczego rozwoju całego narodu.

Jeśliby prof. Latawiec w częściach następnych monografii o Norwidzie miał nadal się trzymać schematów typologicznych, to sądzić należy, że nie uda mu się ująć i wyinterpretować należycie twórczości Norwida.

Również budzi zastrzeżenie następująca ocena oryginalności Norwida:

„Po skreśleniu w ogólnych zarysach systemu Norwida, należy nam odpowiedzieć na pytanie, o ile i w czym system ten jest oryginalny. Odpowiedź dla autora Promethidionu wypadnie niezbyt pomyślnie, większość idei norwidowskich jest zapożyczona, zapożyczona jest ona z najróżnorodniejszych źródeł. Idea zmartwychwstania, nieśmiertelności jest własnością Hoene - Wrońskiego, największego mistrza całej filozofii narodowej, idea ducha, palingenezy — własnością Cieszkowskiego, zagadnienia życia pozagrobowego i filozofia narodowa — Krasińskiego, polityczne zagadnienia noszą na sobie aż nazbyt wyraźne piętno systemu Trentowskiego, estetyczne zaś poza wpływem platonizmu, winckelmanizmu i estetyki francuskiej, wyprowadzają się z estetyki Karola Libelta".

Na ten zarzut nieoryginalności odpowiedzieć należało by cytatem z Norwida... „oryginalność j e s t t o s u m i e n n o ś ć w o b l i c z u ź r ó d e ł". I jeszcze ten cytat: „...ani jednego słowa Zbawiciela nie ma, którego by wprzód w prorokach i przypowieściach ludowych nie było. I owszem, nie już ludu wybranego prorocy ale i greccy nawet mistrzowie wiele z tych praw moralnych znali. Sam Zbawiciel powiada, ż e n a u k a j e g o n i e j e s t j e g o, że nie przyszedł nauczać, ale dopełniać; — więc że oryginalności wcale nie ma absolutnej — na to już zgoda! Oryginalnym właśnie dlatego jest każdy prostotliwy i zacny człowiek w rozumie swoim, — każdy poczciwy człowiek ma coś oryginalnego w sobie. Oryginalność ma prosty człowiek z ludu. Oryginalność więc jest tylko sumiennością dodatnią w obliczu źródeł".

Oryginalność więc Norwida, walor jego twórczości nie polega na tym, że te lub inne idee wziął od różnych twórców, ale na tym, co z tymi ideami zrobił, na jego s u m i e n n o ś c i w obliczu prawdy, źródła wszelkiej oryginalności. P o s t a w a N o r w i d a w o b e c p r a w d y, o t o i s t o t a t w ó r c z o ś c i N o r w i d a. W tym szukać należy jego wielkości lub słabości.

Bądźmy sumienni, ileż bo idej na świecie jest oryginalnych? Czyż nie wszystkie, w różnorakich formach, deformacjach, kształtach wieczyście się objawiały i objawiają? Idea zmartwychwstania — to idea stara, żydowska, idea palingenezy — to dawna idea — aryjska itd. Wszystkie zaś mieszczą się w źródle jednym: w prawdzie, w Bogu, w Absolucie, a raczej wyprowadzone zostały ze stosunku człowieka do prawdy. Stosunek bezpośredni człowieka do prawdy, oto co jest oryginalnością!

Nie wiem, po jakich liniach pójdzie dalsza praca prof. Latawca, ale gdyby prof. Latawiec poprzestał tylko na powierzchownym skonfrontowaniu idej Norwida z filozofią narodową, to można będzie uważać, że jego praca nie wyczerpie zagadnienia oryginalności i wartości całokształtu twórczego trudu Norwida.

Wpierw, albo też równocześnie z rozbiorem dzieł Norwida, winien prof. Latawiec sięgnąć do idej filozofii narodowej, scharakteryzować epokę ówczesną w szczytowych jej osiągnięciach. Norwid jest jednym przęsłem w architektonice twórczego ducha narodu, w jego mesjaniźmie (ale nie typu mickiewiczowskiego). Wyłamywanie Norwida z tej architektoniki, co stale robią dotychczasowi monografiści i essayiści, jest zasadniczym błędem.

Pierwszy rozdział pracy prof. Latawca pozwala mniemać, że będzie on próbował rzetelnie ująć to zagadnienie.

Książka prof. Latawca budzi wiele interesujących zastrzeżeń. Można by się spierać niemal o każdą stronicę. Mnie n.p. nie wydaje się oczywiste, że Norwid był „Inwalidą intencji" w pierwszym okresie swej twórczości. Jeśli w latach 1842 — 1852, a więc wtedy gdy liczył

20 — 30 lat życia, poeta napisał takie skończenie piękne utwory jak „Epos nasza“, „Wesele“, „Bema pamięci rapsod“, „Litania do Najświętszej Marii Panny“, „Pióro“ i szereg innych, to przyznać należy, że wykazał tu inwencję twórczą i to nieprzeciętną.

Część druga „Szaman i jego uczeń“ jakoteż część trzecia, „Biała tragedia Norwida“ wymagałyby jeszcze wnikliwszych studiów. Jest dosyć problematyczne czy Minasowicz odegrał w życiu Norwida rolę Szamana i czy stosunek Kalergis do Norwida został przedstawiony w „Pogance“ i „Białej róży“ Żmichowskiej. Zagadnienie Żmichowska — Norwid czeka jeszcze na gruntowne rozpatrzenie i konfrontacje odkrywcze polonistów, badających tę epokę.

Prof. Latawiec projektuje jeszcze następujące części swej pracy o Norwidzie: 2) Pod znakiem Krzyża i Hellady — W antymickiewiczowskim obozie intelektualnym; 3) Don Kichot — Prawdy; 4) Promethidion na tle platońskich systemów estetycznych XVIII i XIX wieku; 5) Aerumnarum plenus.

Jak widzimy zasięg pracy prof. Latawca o Norwidzie będzie szeroki i wyczerpujący. Oby mu się udało wyjść z podjętego zadania obronną ręką! Praca nad Norwidem nie jest łatwa.Tym większe uznanie i zasługę zdobędzie ten, kto ją dobrze wykona.

Grey Owl: Historia opuszczonego szałasu.

Towarzystwo Wydawnicze „Rój“, Warszawa 1939 r.

Niezapomniany czar, jaki rozsiał autor w „Pielgrzymach puszczy“, unosi się i w tej książce Grey Owla, Szarej Sowy. Jest coś naprawdę fascynująco tkliwego w prostych opowiadaniach Grey Owla, poświęconych „Małym Ludom“ czyli bobrom, pięknej i groźnej krainie północy — Kanadzie oraz ludziom — białym a w większym stopniu czerwonym — przemierzającym tamte puszcze w wieczystym pochodzie za przygodą, idącym Szlakiem wolności ku niezbadanym losom.

Nad kartami „Historii opuszczonego szałasu“ unosi się, niby po burzliwym czasie potopu, tęcza Legendy. Oto pierwsza karta książki: „Opowiadający siedzi przy ognisku, pali fajkę i rozmyśla. W małych głowniach zjawiają się obrazy przeszłości...

Z daleka dobiega głęboki, melancholijny jęk; crescendo wznosi się do łkającego płaczu, nabrzmiałego męką i troską wieków, potem cichnie, powraca jeszcze parokrotnie by wreszcie zupełnie umilknąć. Cisza.

Gdy ostatnie drgania ustają, głos Opowiadającego znów podejmie Opowieści Pustej Chaty.

Ogień rozbłyskuje silniej i gaśnie; dokoła krążą niepewne, chwiejne cienie.

Historia płynie...“.

A oto słowa Epilogu:

„Siedzę samotny. Otaczają mnie wszystkie odgłosy nocy — szybkie szmery, miękkie szepty, prawie bezdźwięczne stąpania.

Księżyc kładzie długie cienie w aleje między drzewami, gdzie w postawie pełnej oczekiwania trwają dziwne kształty. Poświata księżycowa lśni obok ciemnych zakątków, z których, jak z zasadzek, przeglądają błyski światła...“.

W ramach Legendy o przymierzu człowieka z wszelkim stworzeniem układają się opowiadania Grey Owla. Daje się uchwycić w tych wzruszających frazach opowieści zagubiony przez człowieka ton wszechmiłości. Gdzieś tam w pradziejach, jak uczy Pismo, żył Adam, który na stopie przyjacielskiej i zupełnego oddania zaufania obcował ze zwierzętami. Grey Owl wskrzesza ten prastary mit — wskrzesza go przez swe życie i swą pionierską działalność dla „Małego Ludu“. Obcuje ze zwierzętami jak z braćmi. Tryb życia swego dostosował do rytmu życia Puszczy i małych swych przyjaciół.

Każde stworzenie dla Grey Owla jest nie tylko przedstawicielem jakiegoś gatunku ale określonym indywiduum, mającym obok cech wspólnych gatunkowi, cechy indywidualne, odrębne. To mały przyjaciel, z bezwzględnym zaufaniem oddany swemu Wielkiemu Przyjacielowi, który go rozumie, wnika w jego psychikę, pobłaża jego psotom i cieszy się jego szczęściem.

Zniknęła zapora. Jesteśmy świadkami Legendy. Minęły zdawało by się czasy, kiedy cała Natura obróciła się przeciw sobie, skłóciła, przemieszała i razem z człowiekiem ponosi skutki jego upadku, razem z człowiekiem „boleje“.

Na kartach książek Grey Owla dokonuje się przedziwna „katharsis“, oczyszczenie duszy człowieczej z win wiekowych przeciw mniejszym braciom — dobrym, obdarzonym ufnością do człowieka stworzeniom.

Człowiek zrozumiał zwierzę i nie jest już wrogiem ale bratem, zyskał jego bezwzględną ufność i oddanie. W zamian za to poszerzył swą duszę o wzruszające tony miłości. Opowieści Grey Owla płyną spokojnie, nurtem głębokim i przedziwnym. Noszą w sobie piętno umierającej rasy czerwonych — piękno dostojeństwa i wieczystego przemijania.

Tej rasie poświęcił Grey Owl skończenie piękne opowieści: „Synowie Kee-Way-Keno“, „Mędrzec z nad jeziora Pelikanów“, „Drzewo“, „Posłannictwo Hiawathy“ i wiele innych.

W „Posłannictwie Hiawathy“, opowieści o wielkim legendarnym proroku i mędrcu indiańskim, przytoczył autor dawną legendę: Ten wielki Indianin bolał szczerze nad rozproszeniem i sporami wśród swych braci. Wzywał ich do jedności, miłości, zgody. Ziomkowie nie słuchali go. Postanowił po raz ostatni użyć swojego wpływu na nich. W tym celu obszedł wszystkie szczepy indiańskie, zapraszając je na wspólną ucztę; zaprosił też na nią wszystkie zwierzęta leśne. W oznaczony dzień na ucztę stawiły się tylko — zwierzęta.

„Hiawatha, który pojął, że nie udało mu się wypełnić posłannictwa, musiał odejść. Przed odejściem wygłosił do zwierząt mowę pożegnalną; podziękował im za przybycie i powiedział, że w nagrodę za uprzejmość znajdą przyjaciół w białych przybyszach i przeżyją znacznie wszystkich Indian“.

Odszedł Hiawatha na ścieżkę śmierci śpiewając pieśń pożegnalną.

Zwierzęta stały w oszołomieniu. „Odczuły nieszczęście, które je spotkało i zapłakały gorzko po przyjacielu... Cała Natura pogrążyła się w żałobie. Tak odszedł „Mąż Ukochany Przez Zwierzęta“, człowiek, który spełniał dobre uczynki nie licząc na wynagrodzenie ani na pochwałę, człowiek wzgardzony przez swój własny naród, istny Mesjasz puszczy“.

I oto cała Natura boleje po tej stracie i wszystko w puszczy wzdycha za dawnymi czasy pojednania z człowiekiem:

„Puszcza wzdycha za Hiawathą. Wilki płaczą po nim, potok szepcze jego imię, hen, wysoko, gdzieś pod niebem orzeł woła: „Przyjdź Hiawatho!“ Bobry milczą nad jeziorem, stoją cicho, zasłuchane; może właśnie dzisiaj przyjdzie Brat Hiawatha?“.

Coś z ewangelii Hiawathy zrealizował Grey Owl przez swe czarujące pisarstwo.

A. Madej.

Z kraju i ze świata

Plany Mussoliniego

W roku ub. równowaga osi Rzym — Berlin została zwichnięta przez olbrzymi wzrost potęgi Niemiec. Obecnie Mussolini pracuje nad jej przywróceniem. Nie przeszkadzają mu w tym Niemcy, a nawet skłonni są dopomóc, byle bez zbytniego ryzyka. Wiedzą bowiem, że w przeciwnym razie oś stałaby się dla Włoch bezużyteczną. A Trzecia Rzesza zarobiła już na niej dobrze i ma nadzieję wymusić — za jej pośrednictwem — dalsze sukcesy.

Plany Mussoliniego są rozległe. Myśli on o podziale Europy na świat północny, germański i świat południowy, rzymski. Opancerzony ten Kastor i Polluks miałby później, związany łańcuchem „świętego przymierza", przystąpić do uporządkowania sytuacji na innych kontynentach, tym razem przy współudziale Japonii.

Rozumie on dobrze, że istnieją dziś tylko dwa wielkie problemy ideo - polityczne: problem „faszyzm - komunizm" i problem „biali - kolorowi". Ten drugi odkłada snać Duce na później i ma rację, gdyż jest on jeszcze w fazie mgławicowej. Nie lekceważy go jednak, on który zamierzył zadać cios Wielkiej Brytanii jednocześnie w Hiszpanii, w Egipcie i w Indiach. Wszak sam powiedział, że faszyzm opracował już swą „tysiącolatkę".

Umocniwszy się na bastionach swego imperializmu kolonialnego, Mussolini przechodzi do zagadnienia Morza Śródziemnego, jako odwiecznego mare internum cywilizacji rzymskiej. Ma tu do zwalczenia dwie potężne przeszkody: Francję i Anglię. Pierwszą próbuje sforsować atakiem czołowym od Pirenejów, posługując się — jako głównym atutem — Hiszpanią, drugą osacza i powstrzymuje od interwencji czynnej polityką przyjaznych pertraktacyj, trzymając w odwecie główny atut ruchu panarabskiego, którego ostrzem ugodzić może w każdej chwili w węzły życiowe Wielkiej Brytanii.

Na Francję patrzy Mussolini okiem Bonapartego, który tym razem przyszedł na świat w Rzymie: jako na zbuntowaną przeciw ideałom cywilizacji śródziemnomorskiej siostrzycę łacińską Italii. I jak Cezar chciałby w niej widzieć nową Galię, która powinna wejść w skład imperium romanum.

Chce ją opanować od wewnątrz i zmusić do posłuchu od zewnątrz. Z tych motywów wypływa jego obecna strategia i taktyka polityczna.

Niemcy na rozdrożu

Imperium nordyckie Hitlera postawiło sobie — na wiek XX-ty — trzy zadania polityczne: 1) zjednoczenie narodu niemieckiego, 2) zorganizowanie dlań „strefy życiowej" w koloniach i w Europie południowo - wschodniej, 3) podbój Europy wschodniej, aż po granice imperium rasy żółtej, które buduje w krwawym pocie Japonia.

Z tego programu wynika logicznie możliwość zgodnego podziału wpływów między Germanią a Italią. Ale jest w tym programie jeden szkopuł, a mianowicie stosunek między „Wielkimi Niemcami" a rasą anglosaską. Tradycyjna polityka Wielkiej Brytanii nie dopuści do rozrostu tak olbrzymiej potęgi konkurencyjnej na północy, tym bardziej, gdy potęga ta sprzymierza się z Italią, godzącą w drogę do Indyj i z Japonią, rugującą Anglosasów z nad Pacyfiku, co równa się zniszczeniu ich roli dominującej w świecie.

Starcie z zachodem a w szczególności z mocarstwami rasy anglosaskiej jest więc nieuniknione. Powstaje pytanie: kiedy? Czy najpierw iść na wschód czy też najpierw rozprawić się z Anglią i Francją, jej żandarmem na kontynencie? To hamletowe pytanie, decydujące o przyszłości, wprowadza element irracjonalizmu i chwiejności do logicznego planu.

Właśnie w tej chwili stoją Niemcy przed tym dylematem: albo rozprawa zbrojna z zachodem, bez oparcia o wschodnie rezerwoary surowcowe, albo pochód na wschód z całą dozbrojoną potęgą anglosaską na tyłach, czekającą tylko na nowy rok 1812-ty, by dobić wyczerpane Niemcy i zgotować Hitlerowi (i Mussoliniemu) nową Ś-tą Helenę.

Hitler nie pragnie rozgrywki z rasą anglosaską; przeciwnie chce z nią przymierza, opartego na przesłankach nordyckiego braterstwa. Ale fatum wciąga go w matnię wojenną. Najlepszym z niej wyjściem byłaby dlań lokalna wojna francusko - włoska, „wojna bez wypowiedzenia", wobec której i Anglia i Niemcy mogłyby zachować stanowisko wyczekujące. Kluczem otwierającym ten skomplikowany „zatrzask angielski" byłby konflikt orężny, hiszpańsko - francuski.

Polska wobec idącej wojny

Jakie stanowisko powinna zająć Polska w zbliżających się zapasach o nowy podział świata? Odpowiedź łatwa: powinna starać się za wszelką cenę zachować neutralność. Gdyby wojna miała wybuchnąć na wschodzie, jako wynik ekspansji Niemiec w kierunku Eurazji, neutralność taka byłaby nie do pomyślenia. W ten czy inny sposób Polska musiałaby wmieszać się w zmagania gigantyczne Rosji i Niemiec, bo to jest teren jej misji historycznej, na którego losy winna mieć wpływ decydujący. Ale w wojnie o kolonie i Morze Śródziemne Polsce skrwawić się nie wolno, gdyż wysiłek ten wyczerpałby ją na długie lata i odebrał by jej możność skutecznego wpływania na losy wypadków w Europie środkowo - wschodniej.

Powiedział słusznie Dmowski, że Polska powinna dążyć do wyeliminowania się z orbity upadającej cywilizacji industrializmu zachodnio-europejskiego. Wojna na zachodzie będzie fragmentem tego procesu degradacyjnego. Wziąć w niej udział, to lekkomyślnie włączyć się w tryby tej miażdżącej machiny.

Przeciw temu rozumowaniu można wysunąć poważny zarzut: przecież zwycięstwo Niemiec nad mocarstwami zachodu grozi nam w przyszłości wojną biologiczną z niepomiernie silniejszym przeciwnikiem, który chce nas od wieków wytrzebić. To prawda, ale i klęska państw totalnych nie leży w naszym interesie, ani też w interesie cywilizacji (co tu na jedno wychodzi), gdyż przyniesie ona triumf żydostwa, wolnomularstwa i komunizmu, któremu wówczas nie zdołamy się oprzeć.

Wniosek: Polska winna zachować, w toku tych zapasów, pozycję wyczekującą, wzmacniając tylko swój potencjał mocarstwowy i rezerwując sobie wolną decyzję uderzenia z całym rozmachem w tym momencie, gdy dostrzeże, że zwycięstwo któregoś z tych czynników: masońskiego Antykościoła czy pogańskiego rasizmu zagraża w większej mierze jej i cywilizacji chrześcijańskiej.

Oczywiście Polska musi wypełnić swe zobowiązania sojusznicze wobec Francji w wypadku brutalnej agresji. Nie sądzimy jednak, by Niemcy targnęły się na to, wiedząc o determinacji Polski. Atak faszyzmu na Francję i Anglię pójdzie raczej inną, okólną drogą.

Niemniej Polska powinna wyzyskać okres zaangażowania się Niemiec na zachodzie do rewindykowania utraconych pozycji w Europie Środkowej, a w szczególności

do: a) likwidacji Rusi Podkarpackiej, b) nawiązania dobrych stosunków z Pragą, c) odnowienia związków z Budapesztem, d) przywrócenia autorytetu Polski na Bałkanach, mocno nadszarpniętego w ostatnich czasach, e) rozwiązania — przynajmniej w zarysie — problemu polsko-ukraińskiego. W ten sposób naprawimy choć w części błędy naszej polityki zagranicznej w latach ubiegłych.

Na martwym punkcie

Gdzie podział się ruch ożywczy, jaki panował na naszym odcinku wewnętrznym w minionym sezonie politycznym? Szumne zapowiedzi Ozonu ugrzęzły w impasie sejmowo-biurokratycznym. Problem żydowski jakoś przybladł. Walka z masonerią utrącona została dekretem antymasońskim, który rozładował napięcie. Gorączka reform gospodarczych, wyścigu zbrojeniowego i t.p. również opadła. Grupy młodonacjonalistyczne straciły impet po klęskach wyborczych. Ambicje imperialne młodego pokolenia (mit Europy Środkowej!), oblane zimną wodą porażki w sprawie Rusi Karpackiej, także przygasły. Robi to wrażenie, jakby Polacy — chwilowo rozpłomienieni przysłowiowym słomianym ogniem — stracili znów wiarę w siebie.

Jest to moment psychologiczny ogromnie niebezpieczny. U Polaków bowiem po zniechęceniu przychodzi zazwyczaj senność i apatia. Obecny zaś moment historyczny najmniej się nadaje na dolce farniente. Groźny kryzys dziejowy, nabrzmiewający naokół nas i dochodzący do najwyższego naprężenia, wymaga z naszej strony czujności niezmiernej i olbrzymiego wysiłku imperiotwórczego.

Właśnie teraz trzeba nadać Polsce maksymalną spoistość wewnętrzną i elastyczność polityczną, aby mogła ona odegrać w zbliżających się wypadkach tę rolę opatrznościową, do jakiej predestynuje ją sytuacja geopolityczna.

W latach 1939-40 ważyć się będą losy Polski i Europy w sposób decydujący o ich bycie (i rozwoju lub upadku) na całe stulecia.

Książki nadesłane

Zofia Bohdanowiczowa: Droga do Daugiel. Powieść nagrodzona na jubileuszowym konkursie Księg. św. Wojciecha. Str. 296, Poznań 1938.

Wacław Budzyński: Lufcik na świat. Warszawa 1937. Biblioteka „Jutra Pracy". Str. 300.

Polska idea imperialna. Oprac. przez Zespół „Polityki". Warszawa 1938. Wyd. „Polityki". Str. 86.

Przegląd filozoficzny, r. 41, z. II. Treść: A. Zieleńczyk: Marian Borowski; S. Czajkowski: Główne tendencje systemu Malebranche'a; I. M. Bocheński O. P.: Powszechniki jako treść cech w filozofii św. Tomasza z Akwinu; S. I. Witkiewicz: O protagerejskim typie umysłowości; B. Gawecki: O realiźmie krytycznym; S. Baley: Karol Stumpf.

O mocnego człowieka w Polsce. Odbitka cyklu artykułów z „Polski Zbrojnej". Warszawa 1938. Skł. gł. Księg. A. Prabucki. Str. 53.

Marchołt, r. V., nr. 1. Treść: Red.: Poufna rozmowa z czytelnikiem; K. St. Frycz: Narodowa idea zagranicznej polityki; J. Szokalski: Życie Eug. Małaczewskiego; Al. Rogalski: Teoria poetycka ks. Henryka Bremond; J. Brzoza: Co to jest autentyzm.

Ks. Józef Pastuszka: Psychologia indywidualna. Studium krytyczne. Wyd. Tow. Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, tom 26. Lublin 1938. Str. 160.

Ks. dr Józef Pastuszka: Z filozofii i psychologii komunizmu. Dwa odczyty. Lublin 1938. Przedruk z pracy zbiorowej p. t. Bolszewizm. Str. 73.

Czesław Latawiec: Cyprian Kamil Norwid i jego czasy. (Pierwsze dziesięciolecie twórczości Norwida). I. Inwalida intencyj. Szaman i jego uczeń. Biała tragedia Norwida. Poznań 1938. Wyd. Stefana Dippla. Str. 166.

Alicja Montrouge: Przeznaczenie. Powieść. Poznań 1938. Wyd. Stefana Dippla. Str. 267.

W. Bączkowski: Abecadło problemu polsko-ukraińskiego. Warszawa 1938. Odbitka z „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego". Str. 8.

Włodzimierz Bączkowski: Grunwald czy Pilawce? Warszawa 1938. Wydawnictwo „Myśli Polskiej". Str. 208.

Włodzimierz Bączkowski: W obliczu wydarzeń. Warszawa 1939. Wydawnictwo „Myśli Polskiej". Str. 112.

Adrian Divéky: Dziejowe wskazania polskiej i węgierskiej racji stanu. Warszawa 1935. Odbitka z mies. „Nasza Przyszłość". Str. 35.

Stanisław Worcell: O stosunkach polsko-węgierskich. Warszawa 1938. Str. 32.

Wydawnictwa Nacz. Instytutu Akcji Katolickiej

Ks. Karol Pekala: Akcja katolicka wobec komunizmu. Rzecz dla asystentów kościelnych. Nr. 27 Książnicy Akcji Katolickiej. Poznań 1938. Str. 246.

Adolf Kardynał Bertram: W służbie ideałów Akcji Katolickiej. Z niem. przeł. ks. dr. Stefan Grelewski. Książnica Akcji Katolickiej nr. 26. Poznań 1938. Str. 585.

Jenerałowa Jadwiga Zamoyska: O pracy. II wyd. przygotował do druku ks. dr. Stan. Bross. Seria „Ideały i życie", tom VII. Poznań 1938. Str. 165.

Henryk Daniel Rops: Nędza i my. Przekł. Marii Winowskiej. Seria „Kultura Katolicka" tom XXVII. Poznań 1938. Str. 86.

Maria Winowska: Misja katolików we współczesnym świecie. Biblioteka „Kultury" nr. 12. Poznań 1938. Str. 55.

Uchwały I polskiego Synodu Plenarnego odbytego w Częstochowie w dniach 26—28 VIII 1936, oraz Orędzie Episkopatu Polskiego w sprawie uchwał Synodu. Poznań 1938. Str. 64.

Rajmund Wensiekierski: Poznanie i wykonanie uchwał I polskiego Synodu Plenarnego szczytnym posłannictwem polskiego katolicyzmu. Poznań 1938. Str. 8.

Prof. dr. Stefan Glaser: Znaczenie i moc obowiązująca uchwał I polskiego Synodu Plenarnego. Str. 13.

Ks. dr. Tadeusz Glemma: Synody prowincjonalne w Polsce przedrozbiorowej. Ich wpływ na życie katolickie w kraju. Str. 14.

Ks. prof. dr. Julian Piskorz: Aktualne zagadnienia duszpasterstwa i jego metod współczesnych. Str. 20.

Dr. Stefan Świeżawski: Pełnia katolicyzmu w życiu osobistym i zbiorowym. Str. 20.

Ks. dr. Aloizy Poszwa: Małżeństwo i rodzina w uchwałach Synodu Plenarnego. Str. 32.

Ks. dr. Wład. Padacz: Prawno-organizacyjne zagadnienia Akcji Katolickiej w świetle uchwał Synodu. Str. 21.

Mgr. Tad. Romer: Prawne stanowisko i zadania katolików świeckich w kościele. Str. 20.

W Bibliotece Zet

ukazały się prace z dziedziny

Filozofii

J. Hoene-Wroński: Prawo Tworzenia (spolszczył Cz. J.-Kozłowski) 1 zł. 50
J. Hoene-Wroński: Cele absolutne ludzkości (przełożyła Zofia Kozłowska) . . . . 1 zł. —
Cz. Jastrzębiec-Kozłowski: Absolut a względność. Wstęp do Wrońskiego . . . . 2 zł. —
Jerzy Braun: Metafizyka pracy i życia. Rzecz o St. Brzozowskim 3 zł. —

Estetyki

S. I. Witkiewicz: O czystej Formie . . . . . 1 zł. 50
K. Homolacs: Zasada kształtowania formy w sztuce plastycznej 1 zł. —
K. Règamey: Treść i Forma w muzyce . . . . 1 zł. 50

Literatury

Bunsch—Gorecki—Kudliński: Nowa realizacja Hamleta oparta na pomyśle St. Wyspiańskiego . . . . . 2 zł. 50
Bol. Miciński: Chleb z Gietsemane. Poezje . . . . 2 zł. —
Jerzy Braun: Tancerz otchłani. Poezje . . . . 3 zł. —
Jerzy Braun: Epitaphium. Poezje . . . . . 2 zł. —
Antoni Madej: Z poezji Otokara Brzeziny (przekłady) . . 3 zł. —
.*Eug. Małaniuk*: Stepowa Hellada. Poezje (przeł. Cz. J.-Kozłowski) 1 zł. —
Antoni Madej: Drzewo figowe. Poezje . . . . . . 2 zł. 50

Publicystyki

Jerzy Braun: Kultura polska na bezdrożach. O nowy kształt polskiej kultury narodowej . . . . 1 zł. —
Dr. Juliusz Braun: Kilka myśli o konstytucji kwietniowej . 1 zł. —
Antoni Madej: Quo vadis Z. N. P. List otwarty do członków Związku Nauczycielstwa Polskiego . . . . —. 50

Do nabycia w administracji „Zetu" — Warszawa, Wilcza 65 m. 1

Tel. 9-12-32. Konto P. K. O. Jerzy Braun 153,210

Wysyłamy na żądanie za zaliczeniem

Redakcja i Adm. Warszawa, Wilcza 65 m. 1, tel. 8-64-65. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

Prenumerata: półroczna 2,50 zł., roczna 5 zł. P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakł. Graf. „DŹWIGNIA", Warszawa, Widok 24, tel. 665-39